SYN MARNOTRAWNY.

SYN
MARNOTRAWNY.

OPOWIADANIE Z KOŃCA XVIII WIEKU.

PRZEZ

Józ. Ig. Kraszewskiego.

(Wydanie Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj).

Tom II.

WARSZAWA.
W DRUKARNI JÓZEFA BERGERA,
przy ulicy Elektoralnéj Nr. 14.

1879.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Ноября 1878 года.

I.

Działo się to przed wyjazdem wojewodzica do Warszawy. Zapewne prosta ciekawość tylko skłoniła starostę Daliborskiego, iż znajdując dostarczone mu informacye o stosunkach Wicka niedostatecznemi, zapragnął sam dotrzéć do źródła i przypomniéć się pani Strańskiéj. Wdowa, która go za dawnych czasów pobytu w domu miecznika widywała, choć go zdala na ulicy niekiedy spotkała, stroniła, nieżycząc sobie być poznaną. Daliborski téż jéj nie szukał i zbliżać się nie miał ochoty, dopóki nie wypadła potrzeba.

Dosyć zdziwioną i zmieszaną została pani Strańska, gdy raz wychodząc od swoich kochanych Dominikanów, w progu spotkała Daliborskiego. Chciała go zrazu pominąć jak nieznajomego, ale mecenas się witał.

— Cóżto? pani nie łaskawa mnie sobie przypomniéć.

— A! pan starosta! prawdziwie...—zaczęła uśmiechając się wdowa—nie sądziłam... przepraszam...

— Ja oddawna asanią dobrodziejkę tu widuję, lecz nie chciałem się naprzykrzać. Widzę, że pani musi mieszkać w Lublinie?

— A tak! od niejakiego czasu—bąkała wdowa pomieszana.

— Na dewocyi?— uśmiechnął się mecenas.

— Dla wychowania Helusi — przerwała rumieniąc się Strańska —zawsze w mieście łatwiéj.

To mówiąc, wyszli byli z zakrystyi. Wdowa bardzo wolnym krokiem ciągnęła uliczką, Daliborski uparcie jéj towarzyszył. Strańska nie była z tego niekontenta, znając potęgę stosunków i wpływów młodego jurysty; zresztą, mogły jéj jakieś śmielsze myśli przyjść do głowy, widząc że się tak nią i jéj losem zajmował, a w końcu przedłużając rozmowę, nie myślał ją opuszczać.

Kilka razy stawała chcąc go pożegnać, ale Daliborski oświadczył że radby ją odprowadzić do domu, dodając, że się nudzi, niéma się gdzie rozerwać i radby czasem chwileczkę jaką spędzić u dawnéj znajoméj.

Mógł się zawsze przydać pani Strańskiej, i nie wahała się go zaprowadzić do dworku. Tu Daliborski, nadzwyczajną czułość okazując dla małéj Helusi, pozyskał sobie więcéj jeszcze serce matki. Strańska wpadła w dobry humor, i dawna poufałość ze starostą wróciła. Po kilku dniach Daliborski znowu się zjawił na gawędkę i kawę poobiednią, tak że pani Strańska poczęła mieć osobliwsze myśli.

— Jeżeli bałamut chce sobie ze mnie mieć tak, przyjaciółeczkę w kątku, o! to bardzo dziękuję! Powiem słowa prawdy i dam odprawę; a jeżeli seryo coś myśli, to dlaczegóż nie? dlaczego nie? Wolę jego jak starego Melliniego. Ale to chyba nie może być!

Do jaśniejszego wytłómaczenia się nie przyszło jednak i Strańska zaczynała po niejakim czasie powątpiewać, czy stawiąc dilemma z przyjaciółki albo żony, nie omyliła się. Przeczuwała teraz, że adwokat mógł ani o jedném ni o drugiém nie myśleć, a mieć na celu coś trzeciego, dla niej niezrozumiałego.

W jednéj z poufałych rozmów przy kawie, znienacka przyznał się Daliborski, że wiedział o romansie wojewodzica z Pepitą. Probowała wdowa wykłamać się z pośrednictwa, zaprzeczać wszystkiemu, lecz przekonała się wkrótce, że to było niepodobieństwem. Musiała się przyznać. Mecenas tyle okazywał współczucia dla serc kochających, tak się interesował wojewodzicem, objawiając dlań najserdeczniejszą przyjaźń, iż wdowa wreszcie nie widziała potrzeby tajenia się przed nim. Nie badał téż jéj odrazu, tak jak na inkwizycyi: szedł ostrożnie i powoli.

Ulegając w końcu téj wewnętrznéj potrzebie starzejących kobiét, które, gdy nie mogą same prowadzić romansów, niezmiernie się lubują rozprawianiem o nich, Strańska, która podsłuchiwała swoich protegowanych, poczęła się zwierzać z wrażeń przed Daliborskim.

— Powiadam asindziejowi, kochany panie starosto — mówiła mu — że to jest, jak mamcię kocham, romans, jakiego na świecie nie było!

— Dlaczego?—spytał Daliborski.

— Proszę kochanego starosty, ja żyłam na świecie, i, choć sama nie praktykowałam—dodała rumieniąc się Strańska—alem dużo widziała i nasłuchała się między ludźmi. Coś takiego jak oni dwoje ze świecą szukać.

— Ale w czémże?—nalegał starosta.

— Niechno mnie pan posłucha, to zaraz zmiarkuje. Trzeba i jego znać i ją znać. On, to pan wié, łotra kawał, bujna sztuka, a nawykł na wielkim świecie, ładny chłopak, że mu wszystko szło po myśli. Bo jak mamę kocham, na wielkim świecie co się dzieje! co się dzieje!

— A na małym?--przerwał starosta.

— Słowo daję, jak mamę kocham, nie tyle jest awantur. Wiadoma rzecz, na małym świecie zaraz oszkalują i zgubią kobiétę, a na wielkim co jéj to szkodzi, że na nią plotą! Jeszcze więcéj ludzi to przyciąga.

Otóż, co chciałam mówić: on taki impetyk, gwałtownik, choć ja go przestrzegałam, nie chciał słuchać; zrazu się do dziewczęcia rzucił obcesem.

Ale niech pan nie myśli—dodała Strańska—ja krokiem nie odchodziłam od nich. A i bez tegoby się było obeszło, bo Pepita kochać go kocha, no, szaleje, można powiedzieć że ją oczarował; ale takie to dumne i poczciwe, że inaczéj romansu ani nawet chce rozumieć, tylko żeby zaraz do ołtarza i na całe życie.

Zaraz przy drugiém widzeniu się, tak sobie jak najnaturalniéj, wyznawszy mu miłość, poczęła o ślubie. Gdzie i jak on będzie. Ten — osłupiał. Chciał się śmiać, ale się zawstydził. Wszelkie tedy bliższe poufałości Pepita odkłada na—po ślubie, dając mu całego strawnego rękę do pocałowania. Do twarzy ani dotknąć, chyba gwałtem, a ta zaraz w krzyk i mdleje, a potém jeszcze gniéwa się.

Posądzał mnie wojewodzic, że ja jéj daję nauki, że mu przeszkadzam; ażem go wyłajać musiała, bo nieprawda! Taki rozum i statek w téj dziewczynie, że jak stara! powiadam panu.

Gdy go niéma, to się rozpada za nim, że go kocha i życieby dała, a jak przyjdzie, to go trzyma na staję, w przyzwoitéj odległości: ani przystępu!

Uważałam po kilku dniach, że wojewodzicowi się to strasznie nie podobało; chciał nawet pono nastraszyć ją i kilka dni nie był, nie przyszedł. Pepita łzami się zalewała. Gdy wreszcie przybył, rzuciła się, ale jak pan myśli, z czułością? Gdzie tam! Poczęła go łajać po

polsku i po włosku, od psów, powiadam panu, od łotrów, od zdrajców; myślałam że on, impetyk taki, gotów awanturę zrobić, a ten stał, stał, słuchał, a potém jak padnie przed nią na kolana:—Moje ty bóstwo!—i t. d.

Wdowa ruszyła ramionami.

— Słuchajże pan to daléj, bo to nie koniec. Tęgo dnia za karę, jak się uparła ręki mu nie dać, nie dała... A była taka poruszona, że jéj łzy dziurgiem z oczów płynęły. I ten, proszę starosty, waryat, zbój, jak mamcię kocham, od tego dnia spokorniał do niepoznania.

To prawda — mówiła daléj Strańska — że gdy ona mu z oczów schodziła, a sam się ze mną został, buntował się, łajał, odgrażał, a byle ją zobaczył, inny człowiek się z niego robił.

Ja, proszę pana starosty, tak mi Panie Boże dopomóż i mojéj Helusi! gdy się zdecydowałam pomagać im, to nie inaczéj, jak do Sakramentu. Byłabym nie dozwoliła jéj porwać bez ślubu, o! już co tego, tobym była dobrze dopilnowała, dałam sobie słowo; aż okazało się, że ta ani pomocy ani rady mojéj nie potrzebowała. Kochanie kochaniem, a rozum! o to...

Już jakem się przekonała, że tu niéma się o co obawiać, więc czasami, aby im dać więcéj swobody, wyjdę do mojego pokoju, zostawię ich samych, drzwi niby przymknę, sama stanę, słucham i patrzę. To, jak mamcię kocham, satysfakcya było widzieć to dziewczę, bo to, z pozwoleniem pana, smarkate, ledwie wyrosło, a taki w tém jakiś charakter, że, mówię panu, fraszka senatorskie dziecko!

Gdy ja się tylko z pokoju wysunę, on zaraz korzystając, zbliża się. Ale, gdzie!!! ledwie się podsunie, ta już grozi. Dała mu imię pieszczone, licho wié jakie; nazywa go Czenczi, i woła nań:

— Czenczi! proszę przyzwoitym być. Masz rękę do pocałowania i siadaj na swojém miejscu, a siedź spokojnie, bo pójdę.

— Jaka bo ty jesteś niemiłosierna!—woła wojewodzic.

— Powiedziałam ci, że twoją będę, na dobrą i złą dolę, na życie i śmierć—odpowiada Pepita—dotrzymam ci, ale niech nas ksiądz zwiąże i pobłogosławi.

Więc wojewodzic, który jest wyszczekany, jak niemożna lepiéj, nuż dowodzić, że dosyć gdy Pan Bóg słyszy przysięgę; ona, tylko głową kiwa, listek gryzie w ustach, i, swoje a swoje.

— Kiedy się Pana Boga nie boisz—odpowiada—czegóż się masz bać księdza i świadka. Jak ślub weźmiemy, pójdę choć na koniec świata.

Więc, jak mamę kocham, powiadam panu, że czyste komedye, co ja się tu nasłucham i napatrzę!

Przez Strańską dowiedział się starosta o całym biegu romansu, i pilnie śledził wszystkie jego przemiany. Wojewodzic, wedle jéj opowiadania, w końcu złamany zarazem dowodami miłości i tym charakterem kobiéty, która nad nim potrafiła wziąć górę, ofiarował się żenić, byle kto ślub chciał dać.

Pepita zaczęła nalegać na wdowę, aby ona przez swe stosunki z duchowieństwem, wymogła na którym z dominikanów, aby ich pobłogosławił. Wdowa ostrożnie starać się o to poczęła, mając od wojewodzica zapewnione sto dukatów dla księdza. Szło tylko o to, że wydawszy ostatni grosz na ślub, nie było o czém uciekać, a trzeba było koniecznie uchodzić przed zagniewanym wujem, dopókiby się go nieudało przebłagać.

Wojewodzic więc postanowił jechać do Warszawy, i, jak powiadał, choćby duszę zastawić przyszło, pieniędzy dostać.

O téj podróży, zaledwie uprojektowanéj, Daliborski się zaraz dowiedział od Strańskiéj, która dla niego nie miała tajemnic. Choćby była zresztą chciała co zatrzymać przy sobie, badając ją zręcznie, mecenas w końcu co chciał dobył.

Jednego dnia uwiadomiony, drugiego już był furą w drodze do Warszawy.

Widzieliśmy co się tam stało. W Lublinie oczekiwano powrotu, niemając żadnéj wiadomości o wojewodzicu. Pepita codzień przychodziła do wdowy, aby z nią mówić, aby wylać całe serce swoje i niepokojem się z nią podzielić.

— Dlaczego on nie wraca!?—mówiła, ręce łamiąc—dlaczego ja się tak trwożę bez miary. Nie wiem sama czego się lękam, drżę. On tam może znajdzie piękniejsze odemnie, te obrzydłe wielkie panie, które mi go zbałamucić zechcą.

Strułabym go lub zabiła gdyby mnie zdradził!—mówiła do spokojnie głową potrząsającéj Strańskiéj.—Gdyby nie miał być moim, to niczyim; a potém otrułabym się lub zabiła sama, bo ja bez niego żyć nie mogę, i nie chcę!

Z każdym upływającym dniem, w milczeniu głuchém, bez wieści, rósł ten niepokój, niecierpliwość, gorączka. Chociaż Pepita przed wujem starała się ukrywać stan swojego serca, nawet stary zaczynał mieć jakieś podejrzenia.

Jednego dnia przyszedł do Strańskiéj na kawę.

— Moja dobrodziejko—rzekł, całując ją w rękę—jesteś dobrze z tą moją drogą Pepi. Jéj coś jest. Ona cierpi. Starałem się wybadać: milczy. Oczy ma często zapłakane, nie jé, zamyśla się. Zlituj się, moja dobrodziejko, jesteś jéj przyjaciółką, uczyń to dla mnie, wybadaj ją, wyrozumiéj, co jéj jest. Czyby, uchowaj Boże, kochać się miała! Może to tylko zwykła choroba dorastających, bez oznaczonego przedmiotu, może tylko potrzeba kochania?

Strańska była mocno zakłopotana i zawstydzona, starała się uspokoić doktora.

— Panu konsyliarzowi z czułości się przywiduje—mówiła.—Dziewczę, jak wszystkie w tym wieku, ma melancholie, kaprysiki; to ją pan czém zabaw, rozerwij, kup jéj co.

Doktora to nie przekonywało, szeptał coś po włosku pod nosem.

Pepity niepokój w końcu już zdawał się zagrażać chorobą, wdowa nie wiedziała jak ją i czém skłonić do cierpliwości, wyrywała się z pogróżkami rozpaczliwemi.

Tak stały rzeczy tu, gdy Daliborski nazajutrz, po wypadku z wojewodzicem, zobaczywszy go napół umarłego, w fiakrze leżącego, nagle wszystkie swe wizyty pooddawał wieczorem i zapewne dla pilnych interesów do Lublina powrócił.

Trzeciego dnia, wypadkiem tą razą, spotkała się z nim około ratusza Strańska i sama go zatrzymała. Mecenas mało okazywał ochoty do rozmowy, ale wdowa miała jéj wielką potrzebę.

— Żebyś pan starosta wiedział, co ja mam za kłopot z tą dziewczyną, to nie do opisania. Powiadam panu, jak mamę kocham! waryuje!... Wojewodzic pojechał i jak w wodę wpadł; żeby choć słowo napisał.... Miał za dni sześć, siedem powrócić, a tu go jak niéma tak niéma!

Daliborski z jakąś złośliwością niepoczciwą odezwał się szydersko i nielitościwie:

— A jak ma pisać, ciekawym, kiedy może go już na świecie niéma. Wracając z Warszawy, powiadali mi, że go w pojedynku, bez mała, zabito.

Strańska o włos nie padła ze wzruszenia, posłyszawszy to. Uczepiła się mecenasa o szczegóły, gdzie, jak, od kogo to słyszał? ale Daliborski zbył ją ogólnikami:

— Całe życie awanturnikiem był, świerzbiała mu dłoń, naostatku trafiła kosa na kamień... doigrał się!

Ani sposobu było dowiedzićć się więcéj od niego. Starosta zaprzysięgał, że sam nie wié nic nad to, iż w burdzie jakiéjś wojewodzic był śmiertelnie ranny i że mu życia nie rokowano.

Z tą wiadomością, cała wzburzona, wróciła do dworku Strańska. Najwięcéj ją to przerażało, iż znając siebie, wiedziała, że języka za zębami nie utrzyma, wygada się niezawodnie przed Pepitą, a naówczas... Naówczas już niepodobna było nawet przewidzićć, co się stanie!...

Łamała ręce, rozpaczała; doktor się mógł dowiedzićć, zerwać stosunki, oszkalować ją przed ludźmi jako intrygantkę: naówczas musiałaby się chyba wynosić z Lublina.

W tych myślach przebyła dzień, który się jéj nieznośnie wydał krótkim, tak lękała się wieczornego przybycia Pepity. Gdy zwykła jéj godzina nadeszła, Strańska tak pomieszana na jéj spotkanie się wysunęła, iż gdyby nie lekka słabość Helusi, na którą złożyła swój smutek i niepokój, domyśliłaby się może Pepita, iż coś wiedzićć musiała.

Dosyć niezręczna wdowa, sądząc, iż należało powoli przygotować dziewczę, zaczęła najniezgrabniéj napomykać o losach ludzkich, o życia nietrwałości, o wypadkach, do których człowiek zawsze przygotowanym być powinien.

Ta rozmowa wzbudziła podejrzenie w Pepicie, która jak piorunem rażona, rzuciła jéj w oczy, że ona coś wiedzićć musi. Padła przed nią na kolana błagając:

— Mów! jeśli masz litość nademną! Najgorsza wiadomość lepsza od niepewności. Mów! choćbyś mnie ubić miała! mów!...

Obejmowała ją rękami, całowała z płaczem, nagliła, zaklinała. Strańska w końcu wyznała jéj, o czém się przypadkiem dowiedziała od mecenasa.

Pepita słuchała z oczyma suchémi, wstrzymując oddech, bladła, drżała; lecz ani padła, ni omdlała, ni straciła przytomności. Cios był tak silny, iż ją jak w kamień obrócił.

Nie mogła płakać. Stała nieruchoma, bez słowa na ustach. nie okazując napozór bolu; zwolna rękę przyłożyła do serca i oddaliła się ku oknu.

Wdowa, boleści kobiécéj nie pojmująca inaczéj, jak krzykliwą, głośną i patetyczną, nie umiała sobie wytłómaczyć téj, jak się jéj zdawało, obojętności.

Pepita dała się jéj poprowadzić do krzesła, posadzić w niém; cała była zatopiona w sobie. Strańska nie rozumiała jéj, ona nie widziała ani jéj, ani tego co ją otaczało. Mała Helusia sparła się, szczebiocząc, na jéj kolanach: nie postrzegła ulubionego dziecka.

To straszne zdrętwienie trwało długo. Słowa z niéj nie mogła dobyć Strańska. Czuła, że coś się w téj biédnéj głowie musiało ważyć, że myśli straszne i wielkie po niéj się błąkały; lecz na najczulsze zaklęcia i nalegania nie powiedziała nic biédna Pepita. Uścisnęła Strańską, pocałowała ją i zażądała do domu powrócić.

Oczy jéj czarne, stojące słupem, nieruchome, miały taki jakiś wyraz; twarz była tak marmurowo blada, że wdowa zrazu jéj obawiała się puścić i gdy się napierała powracać, w końcu sama ją przeprowadziła.

Tu, Gawłowskiéj szepnąwszy słowo na ucho, oddaliła się. Pepita wprost pobiegła do swojego pokoju i w nim się zamknęła.

Srodze przyszło Strańskiéj tego dnia za lekkomyślność swoję odpokutować. Powróciwszy do domu ogarnęła ją trwoga, rozpacz niemal. Znała gwałtowną miłość dziewczęcia, lękała się, aby na życie się swoje nie targnęła. Wprawdzie zaleciła Gawłowskiéj największą pilność, ale jéj nie mogła wyjawić, jak dalece położenie było groźném.

Przez całą noc prawie, Helusię uśpiwszy, wdowa płacząc i desperując, odprawując na tę intencyą wszelkie nabożeństwa, jakie tylko najskuteczniejsze znała, polecając się wypróbowanym patronom, miejscom świętym i relikwiom, ślubując rozmaite ofiary do cudownych obrazów i ołtarzy, spędziła nie mogąc usnąć. Nad ranem dopiéro zmrużyła oczy, ale we snach prześladowały ją okropności takie, że się zbudziła o brzasku.

Ranek był mglisty i pochmurny, wdowa, któréj ciężko było oddychać, poszła z bawialnego pokoju okna otworzyć w ulicę; jeszcze nawet drzwi domu stały zamknięte, gdy usłyszała dobijanie się do nich. Wyjrzała i zobaczyła Melliniego, bez czapki, w rannym przyodziewku szturmującego do wnijścia. Sama mu pobiegła otworzyć, bo czuła,

że się jakieś nieszczęście stać musiało. Stary wpadł jak nieprzytomny, machając rękami, okazując rozpacz, któréj wypowiedziéć nie mógł.

— Pepita!—wołał—Pepi! moje dziecko! moja pociecha jedyna! Niéma jéj! znikła! Złoczyńca jakiś!...

Strańska ledwie go potrafiła usadowić w krześle i do tyla uspokoić, aby jéj wytłómaczył co się stało.

Mówił tak rozerwanémi wyrazy, przerywając sobie ciągle wykrzyknikami rozpaczliwémi, iż dużo czasu było potrzeba, aby nakoniec dowiedziała się z jego mowy, iż Pepita, zabrawszy dosyć znaczny zapas pieniędzy, jaki był u niéj w schowaniu, w nocy znikła z domu.

W ręku trzymał Mellini jeszcze zmiętą kartkę, znalezioną w jéj pokoiku, na któréj napisała słów kilka, błagając o przebaczenie i o litość.

Mellini nie mógł pojąć, zrozumiéć, domyśléć się, jaki był powód tego szalonego kroku. Wiedział, że nic innego, jak gwałtowna jakaś miłość, nie mogło spowodować ucieczki; lecz łamał głowę, kto mógł być tym uwodzicielem. Pepi nikogo nie znała bliżéj, nikt w domu ich nie bywał.

Strańska nie mówiła nic.

W końcu odważyła się zdala zwrócić jego uwagę na to, że ów chory młodzieniec, przyjaciel księcia generała, mógł potajemne zawiązać stosunki z Pepitą, która, jak się domyślała wdowa, dosyć nim była zajętą. Nie przyznała się do pośrednictwa, starała się tylko upewnić doktora, iż, o ile znała Pepi, mógł o nią być spokojnym, bo miłość musiała się zakończyć małżeństwem.

Mellini uderzony był trafnością domysłów wdowy.

— A! nieszczęśliwy dzień ten i godzina—zawołał—kiedym go pod dach mój przyjął. Są więc losy nieuniknione! Dla piękności tego dziecka, aby ją uchować od zetknięcia się z tym zepsutym światem, porzuciłem służbę, dwór, wywlokłem się tu na stare lata. Nieszczęście rzuciło pod nogi jéj wpółzabitego człowieka, nad którym ulitować się było potrzeba, który za ocalone życie miał się na mnie pomścić zabójstwem!!

Mellini płakał jak dziecko...

Strańska powtarzała mu, że się ożeni.

— Ożeni się!—krzyknął w gniewie doktor—cóż mi z tego? Jutro się rozwiedzie, uczyniwszy ją na całe życie nieszczęśliwą, jeśli nie zepsutą i strutą swym oddechem. Wasani ich nie znasz!

Cóż dla tych pół-bogów znaczy biédna dziewczyna? To zabawka, za którą milion dziś dać gotowi, a jutro za okno wyrzucić.

Co mi po jego ożenieniu! Niéma mojéj Pepi! niéma! Wróci inną—ja jéj nie chcę!...

Po długich takich wyrzekaniach jednostajnie się powtarzających, Mellini ledwie się dał odprowadzić nazad do domu, gdzie wszystko szlochało i płakało, chodząc zrozpaczone po panience kochanéj.

Gawłowska dowodziła na swą obronę, że po północy jeszcze, z wieczora pannę widząc niespokojną, chodziła pod drzwi jéj podsłuchiwać, że cicho było w pokoiku i sądziła, że usnęła.

Jedna z dziewcząt, śpiących w kuchni, słyszała wprawdzie późno w nocy, jakby otwierające się drzwi na ulicę, które potém w istocie znaleziono nie zamknięte rano, ale wstać się obawiała.

Mellini nie pojmował w ostatku, jak ona sobie radę dać mogła, przypuszczał wykradzenie; Strańska, która wiedziała, że Pepi wykradła się sama, dziwiła się odwadze jéj jeszcze więcéj.

Ochłonąwszy trochę, Mellini, nie dbając już wiele o żadną kompromitacyą, pobiegł na miasto, rozpytując po sąsiednich dworkach, po ludziach, czy kto uchodzących nie widział. Wkrótce i na Winiarach i po całém mieście nie mówiono tylko o tém. Biegał nieprzytomny zaczepiając wszystkich, rozpytując nieznajomych. Wpadł nawet najniepotrzebniéj do Daliborskiego, chcąc go prosić o pomoc i radę.

Starosta, wyrozumiawszy o co chodziło, nadzwyczajnie się zdumiał. Mellini wprost, już napewno, mówił mu o wykradzeniu siostrzenicy przez wojewodzica.

— Co mi pan mówisz! panie konsyliarzu—odparł z flegmą Daliborski—ja powracam z Warszawy, wojewodzic tam jest, a pewniéj na mogiłkach niż żywy, bo go zakłuto w pojedynku. Sam na oczy moje widziałem trupa.

Doktor nie mógł już nic pojąć. Jeśli więc nie z wojewodzicem, z kim uciec mogła? Dla kogo? Znowu najstraszniejsza niepewność o los Pepity obarczyła go. Było w charakterze Daliborskiego, znęcać się nad ludźmi.

— Niéma wątpliwości—rzekł do Melliniego wprowadziwszy go do gabinetu—że waćpana siostrzenica miała jakieś stosunki z wojewodzicem, który się do niéj wieczorami podkradał. O tém wiedzieli ludzie, tylkoś waćpan był ślepy.

Dobijał doktora, który głowę zwiesiwszy na piersi, siedział półżywy, słuchając.

— Wykraść jéj jednak nie mógł—dokończył mecenas—bo go tu nie było. Chyba się dowiedziała o jego śmierci, gdyż sądzę, że pewnie musiał umrzéć i poleciała go choć w trumnie zobaczyć.

Po téj rozmowie Mellini nie miał siły zawlec się do domu, dobiło go to, iż nawet taki obcy mu zupełnie Daliborski, wiedział o romansie, który pod jego dachem się odbywał, a on nań był ślepym. Zgubę nieszczęśliwego dziecka przypisywał sam sobie.

Gdy się znowu znalazł w swym dworku, Mellini oprzytomniał i ostygł nieco. Nie było wątpliwości, że Pepi musiała zbiedz do Warszawy do chorego czy umarłego. Cóż mu pozostawało nad gonienie dziecięcia i ratowanie go?

Zaledwie myśl tę powziął, natychmiast do wykonania przystąpił. Resztę pieniędzy, pozostawionych w domu, zabrawszy, posłał po pocztę i nie żegnając nawet Strańskiéj, wyjechał do Warszawy.

Zobaczywszy go już odjeżdżającego, wdowa wybiegła, aby się coś dowiedziéć. Mellini ledwie kilką słowy ją zbywszy, pośpieszył w pogoń. Chociaż przepłacał pocztylionów i na chwilę nigdzie nie spoczywał, po drodze nie napędził, ani się mógł cokolwiek dowiedziéć o zbiegłéj.

Siły starego opuściły tak, że w końcu leżąc już na bryczce wieźć się kazał. Pocztylioni, litość nad nim mając, opiekowali się osłabłym i zapominającym o wszelkim posiłku.

Zerwał się dopiéro z téj pościeli, gdy mu oznajmiono, że most już miał przebywać i Warszawa była za nim. W téj wielkiéj stolicy miał wprawdzie, poczynając od księcia i jego matki, bardzo wielu znajomych; lecz do kogóż się miał udać, aby zamiast rady i pomocy nie zostać wyśmianym? Rozgłaszać tak własną hańbę i upokorzenie było nad jego siły.

Pocztylion który go wiózł, nieodbierając na kilkakrotne zapytania odpowiedzi, dokąd go miał zawieźć, z własnego domysłu, zawahawszy się między kapitanową na Miodowéj, a Orłem na Tłumackiem, powiózł go do téj gospody, do któréj najwięcéj zajeżdżało osób.

Mimowolnie oczy Melliniego, który od lat kilku nie widział Warszawy, ściągnęła ulica, któréj nigdy tak ożywionéj, tak wrzącéj jakiémś życiem wezbraném nie widział. Zdało mu się że trafić musiał na jakiś dzień świąteczny, chociaż był on powszednim. Nieustannie po-

mijać musiał powozy, z których wyglądające twarze wesołe i śmiejące się, swobodną myślą, rozjaśnione, zdały się jego boleści i pognębieniu urągać.

Skromna bryczka pocztowa, pomimo swéj trąbki musiała co moment ustępować z drogi poszóstnym i poczwórnym zaprzęgom, przed któremi pędzili konni, lub gnali laufrowie. W powietrzu czuć było jakąś, rażącą przykro Melliniego wesołość i rozpasanie ochocze. Dzwony biły wieczorne nie tęskną nutą modlitwy, ale tonami tryumfu i wesela; kilku konnych panów minęło go rzucając mu śmiech w oczy.

W niezmiernie wysokiem wisky jechał elegant powożący się sam czterma końmi, które lekki powozik jak piórko niosły. Młodzieniec siedzący na koziołku, głową niemal sięgał okien pierwszego piętra, z których niewieście główki w wielkich fryzurach i jasnych wstęgach uśmiechały mu się.

Zdala słychać było bęben i fujarkę jakiegoś wojska oddziału, mającego wartę zaciągać.

Ledwie się bryczka mogła przecisnąć przez tłumy powozów, pieszych i jeźdzców i już się ku Tłumackiemu zbliżała, gdy usłużni żydkowie poczęli ją otaczać i chwytać za fartuch, za luśnie, i, mimo opędzań pocztyliona zapraszać do różnych gospód po drodze. Jedni gwałtem rwali do Marywilu, drudzy na podwórze, inni do kapitanowéj, a wszyscy zaręczali zgodnie że pod Orłem ani dla muchy miejsca nie było, że w całéj Warszawie nie mogła się już i śpilka pomieścić, tylko tam, gdzie oni prowadzić chcieli.

Pomimo tych zapewnień, doktor dostawszy się pod Orła, otrzymał obietnicę pomieszczenia choć pod dachem. Zwlókł się złamany, nie widząc już nic i nie słuchając co się działo dokoła i zabierał się iść na górę, gdy posłyszał głos nad sobą:

— Mellini! czy mnie oczy nie mylą! a ty co tu robisz? czy chcesz nam chleb odebrać? a to ci mało Lublina?

Tak śmiejąc się witał go stary znajomy, schodzący właśnie ze wschodów doktor Becker.

Żartobliwy ten ton jednak zmienił natychmiast, spojrzawszy na Melliniego baczniéj. Starzec był ledwie żywy, ból, podróż, znużenie siły jego wyczerpały.

— Giacomo? co ci jest?—zapytał chwytając go w objęcia doktor...

— Jestem nieszczęśliwy! jestem najnieszczęśliwszy z ludzi!—jęknął doktor...

— Ty się ledwie trzymasz na nogach!

— Ja się ledwie przy życiu trzymam!—odparł Włoch.

— Ale cóż to jest—począł Becker—pozwól, ja cię tak opuścić nie mogę. Koledzy jesteśmy, chodź, daj mi rękę!

Może ci w czém pomocą być potrafię.

Mellini dawał z sobą robić co chciał litościwy ów towarzysz. Weszli tak na górę, mijając jedne drzwi, Becker wskazał na nie.

— Mam tu chorego—rzekł—porąbanego i pokłótego, tak iż wątpię by wyszedł cało, chociaż natura nadzwyczaj silna. Właśnie od niego powracam, i prawdziwie nie wiem, czy scena, któréj byłem tylko co świadkiem u niego, wyjdzie mu na zdrowie czy go dobije. Godzina temu może, gdym siedział przy łóżku jego opatrzywszy rany i badając gorączkę w pulsie, wtém drzwi się otwierają, wpada kobiéta, cała okurzona podróżą, jak szalona rzuca się na łóżko z krzykiem i... mdleje na jego piersiach. Ledwiem ją ocucił, ledwie téż potrafiłem chorego po tém wzruszeniu niepotrzebném uspokoić. Prawda że dziewczę jak anioł śliczne, że miłość gorąca, ale może mi dobić pacyenta.

Mellini stał, słuchał i nagle rzucił się w objęcia Beckera.

— Jéj imię! na miłość Bożą; jéj imię...

— Pepi!—odparł Becker...

Doktor ściskał go płacząc...

— Życieś mi wrócił!—zawołał...

II.

Pani starościna siedziała przed wielkiém zwierciadłem, była godzina ranna jeszcze; zwiędła twarz staréj zalotnicy właśnie się na wystąpienie w świat przygotowywała. Dwie służebne zajęte były podawaniem rozmaitych kosmetyków, porcelanowych puszek z bielidłem, różem i smarowaniami. Począwszy od oczów, brwi, do ust i podbródka, wszystko potrzebowało restauracyi umiejętnéj. Resztki piękności należało sztuczną podnieść młodością. Pani starościna oczy miała pilno zwrócone na zwierciadło, a własne jéj ręce pracowały nad malaturą, z któréj nie była kontenta, bo się rzucała i krzywiła, gniewając na sługi.

Naprzeciw niéj na berżerce siedziała córka, w rannym jeszcze stroju, spoglądając na matkę z rodzajem politowania. Ona nie potrzebowała jeszcze tych starań aby być piękną, dosyć jéj było lekkiego obłoczku bielidła, niedostrzeżonego pyłku rumieńca, jeśli naturalnego zabrakło po znużeniu życiem pracowitém. Mówiły z sobą po francuzku, aby służące zajęte około starszéj pani, nie zrozumiały rozmowy.

— Stary jest od kilku dni nie swój—mówiła wojewodzina—trochę chory, nogi mu brzękną, ale toby nie było nic; ma jakieś zmartwienie: ja go znam, kryje się z czémś przedemną. Napróżnom mu dała rękę do całowania, co zawsze skutkuje; poślinił, zamrugał, ale się nie przyznał do niczego.

— Ja ci powiadam, to sprawa Filipa tego. On ma za domem konszachty, on mu przynosi jakieś wiadomości o synu; tego trutnia wypędzić potrzeba, bo on nigdy szczerze nam nie będzie życzliwym.

— O! na to wieleby potrzeba—odparła wojewodzina.—Probowałam razy kilka, mówiłam o pensyi, o nadaniu gruntu, o dożywociu. Wojewoda swoje a swoje: „chyba chcecie śmierci mojéj.”

— O! śmierci! to się tak gada!—żywo przerwała starościna. Będzie dwa dni stękał a trzeciego zapomni. Proszę cię, i mnie się zdawało gdy moja Barciszewska szła za mąż, że ja się bez niéj nieobejdę.

— Ale to niedołężny starzec—odparła wojewodzina—zupełnie zdziecinniał.

— Dla tego właśnie i słuchać go nie potrzeba, i nie dawać mu swoim fantazyom dogadzać. Poprostu, innego przyjąć a tego won!

Wojewodzina zamilkła, bawiła się pierścionkiem zdjętym z palca, zamyślona. Po przestanku cicho szepnęła:

— Nie chciałabym, przyznam się mamie, przyprowadzać tego niepoczciwego Filipa do ostateczności: może się wypaplać!

Starościna ruszyła ramionami.

— Któż mu uwierzy! Ze starym należy postępować energicznie.

Wojewodzina zadumała się.

Szło daléj nadzwyczaj powolnie ubieranie staréj lalki, która koniecznie jeszcze piękną być chciała, i w zwierciadle przyglądała się sobie ze stron wszystkich, niekiedy półuśmiechem witając wspomnienia dawne.

— Do kogo się mama tak dziś stroi?—spytała ironicznie córka.

— To moja tajemnica—rzekła stara kokietka. Może téż i ja jeszcze potrafię schwytać drugiego takiego tłustego szczupaka. Kto wié?

— Tylko niechże sobie mama wybierze mniéj zgryźliwego, podejrzliwego, a najlepiéj takiego, któryby już się z krzesła nie ruszał.

Uśmiechały się obie.

— Zobaczysz! wybór mój będzie rozumny!

Zapukano do drzwi, jedna ze sług wyjrzała, i wojewodzinie podała bilecik, która przeczytawszy go, zmarszczyła się i matce podała. Starościna rzuciła nań okiem i zamruczała:

— *Il a la vie dure!*

Spojrzały na siebie, wojewodzina poczęła żywo:

— Ale to niepodobieństwo aby wyżył. Mówiono mi na pewno, że doktor Becker wcale nie ręczył za uzdrowienie. Płuca być mają przebite, krwi stracił wiele.

— Ja ci powiadam—przerwała starościna—że tacy ludzie co są drugim ciężarem, żyją najdłużéj. Ja za nic nie ręczę, gotów wyzdrowieć.

— Nie, to nie może być!—zaczęła z wielkiém poruszeniem mówić wojewodzina.—Pierwszych dni zaręczali wszyscy, *qui il etait agonisant.*

— Ja temu nie wierzyłam—odparła starościna. Przyznam ci się téż, iż za bardzo niebezpiecznego nie uważam go teraz. Między nim a ojcem rozbrat jest wieczny...

— Ale póki on żyje, ja konać będę—zawołała wojewodzina, na którą cisnęła wejrzenie matka. Ten człowiek, ten człowiek, dopóki on chodzi po ziemi...

— Kochana Dosiu—odezwała się cicho starościna—tyś temu wiele winna.

Wojewodzina miała łzy gniewu w oczach, bilet, który trzymała w ręku zdarła w drobne kawałki. Wśród milczenia chwilowego drugi raz dało się słyszeć do drzwi pukanie, i drugi bilet podano pani wojewodzinie, ale ten był dłuższy i niespokojna poszła z nim do okna, a oczy troskliwéj matki za nią.

Usiłowała widocznie odgadnąć treść téj korrespondencyi, po twarzy córki, która płonęła żywym rumieńcem i bladła... Oczy z pośpiechem przebiegały papier na trzy strony zapisany.

— Cóż za lawina listów dzisiaj!—odezwała się matka, chcąc wywołać tłómaczenie.

Ale czytająca tak była niezmiernie zajęta listem, że nie słyszała głosu matki. Po długiém obracaniu na wszystkie strony, wcisnęła go do kieszeni.

— Cała historya znowu!—zawołała poruszona—ale niéma w tém nic złego... Piękny ów rycerz karczemny, uwiódł sam jakąś dziewczynę, która za nim aż tu wczoraj przyleciała. Scena patetyczna przy łóżku chorego, którego stan się, chwała Bogu, pogorszył znacznie.

— Trzeba żeby kasztelan dziś wieczór, pięknie tę historyjkę ubrawszy, staremu opowiedział; nigdy takich środków zaniedbywać nie potrzeba: nowe uwiedzenie, karczemna zwada, niech zna tego kochanego swojego pierworodnego...

Wojewodzina stała zamyślona.

— Zapewne—odezwała się—a jednak gdy stary jest chory, nie dobrze jest go gryźć i dobijać; mama wié, że na wypadek katastrofy, nasze interesa nie są poregulowane. Doktor powiada że ta pedogra może pójść do góry...

— Ale, moja droga, to téż interesów tak zwlekać i ciągnąć się niegodzi. Czegóż się ociągać? niech sobie ludzie plotą co chcą! Pedogra może uderzyć bez żadnéj widoméj przyczyny...

— Mówiłam już kilka razy—szepnęła córka—ale żeby doprowadzić do końca, trzebaby z mojéj strony takich ofiar, takich obrzydliwych przymilań, do których ja w téj chwili, doprawdy, nie czuję się zdolną.

Mówiąc to wojewodzina wstrzęsła się cała i plunęła, potém zwróciła ku oknie i zapatrzyła w nie.

— Daliborski jest bardzo zacny człek—dodała zimno starościna—a potém, zdaje mu się że trochę we własnéj sprawie działa. Umiałaś go doskonale usposobić.

Wojewodzina z pogardliwą minką odparła:

— A! mam go już dosyć tego Daliborskiego; prawda, że do czasu go oszczędzać potrzeba, ale tak jest złego tonu, tak trywialny...

— Przecież, kochana Dosiu, i ten był dawniéj w łaskach: tylko się nie gniewaj!

Dwie kobiéty zmierzyły się wzrokiem, wcale nie właściwym matce i córce.

— A jeżeli mama téż ma prawo, wymawiać mi, chwilowe fantazye moje. Któż ich nie miał?

Starościna uśmiechnęła się ironicznie.

— Tak i nawet ja, ale byłam szczęśliwsza.

— Może zręczniejsza—dodała córka.

— Dosiu—krzyknęła matka głosem zmienionym.

— Mamo! — odpowiedziała córka, któréj twarz zaogniła się gniewem.

Usłyszawszy to, służące, widać przywykłe już do podobnych wybuchów pomiędzy starościną a wojewodziną, zwinęły się i pouciekały. Zostały sam na sam z sobą matka z wyrazem szyderstwa na twarzy, córka rozgniewana i czująca się panią w domu. Chwilę milczenie trwało: obu im głosu zabrakło.

— Bardzo mamę proszę—odezwała się z dumą i tonem niemal nakazującym wojewodzina—ażebym więcéj w *moim* domu nie potrzebowała znosić takich scen!

Starościna odwróciła się do niéj, wstrzymując widocznie gniew, którym wrzała, zaciskując usta i prostując się.

— Jesteś niewdzięczną!—zawołała głosem stłumionym —wyrodnem dzieckiem! Gdybym cię nie ratowała, gdybym ja tego małżeństwa nie skleiła, pomyśl coby było! wszystkoś mnie winna. Ratowałam cię od sromu i ty! jakaś!

— Niémamy sobie nic do wymówienia—ze złością syknęła córka—szłam za przykładem mamy dobrodziejki!

Rozśmiała się szatańsko.

— Mama mnie zmusza abym to wypowiedziała... mama...

Nic nie mówiąc już, z załamanemi rękami starościna padła na krzesło.

— Proszę ze mną nie grać żadnych komedyi—dodała zimno córka—to na mnie efektu nie robi żadnego: nadto się znamy.

Postała chwilkę u progu i trzaskając drzwiami, wybiegła.

Starościna pozostała chwilę w krześle, westchnęła, podniosła się, popatrzała w lustro, poprawiła coś we włosach, i niecierpliwie zadzwoniła na sługę.

Garderobiane, które zapewne czekać musiały zawołania, nadbiegły natychmiast, dokończyć toaletę pani. Wdziewano właśnie robron i suknią, gdy wojewodzina zjawiła się w progu...

— Mamo—odezwała się mocno poruszona—wojewoda Mokronoski domaga się gwałtem widzieć ze starym. Głowę tracę co począć. Jestem najpewniejsza że nie bez myśli przybył, czuję że będzie mówił za tym gałganem, że starego zaniepokoi, poruszy. Jestto jego najlepszy przyjaciel... Co ja pocznę?

Matka, pomimo świeżo przebytéj sceny, choć w niéj jeszcze wrzało, odezwała się chłodno:

— Odprawić go!

— Niepodobna! Całe miasto mówić o tém będzie.

— To razem z nim idź do męża i bądź świadkiem rozmowy.

— Chce się widzieć sam na sam.

— Rób co chcesz!—syknęła starościna—mojego rozumu nie potrzebujesz, a rad moich i uwag nie przyjmujesz. Nie chcę się mieszać do niczego.

— Ale, mamo, tu idzie o nas obie!—drżącym głosem dodała młoda.

— Nic innego poradzić ci nieumiem—odezwała się starościna gwałtownie—albo go nie puszczać, lub być przy rozmowie...

Gdy tu trwała jeszcze narada co do wojewody Mokronoskiego, on tymczasem, nie bardzo słuchając służby, napół gwałtem poszedł do pokoju gospodarza i już siedział przy nim.

Byli przyjaciołmi młodości.

Słowo o Mokronoskim. W czasie tym, w którym dwór i społeczeństwo nasze ulegało tak wielkiemu wpływowi Francyi, wojewoda był jednym z tych, co francuzki ton, obyczaj, dowcip, najlepiéj w kraju rozpowszechnili. Część życia spędziwszy za granicą, w służbie francuzkiéj, przyjaciel od serca hetmana starego Branickiego, był późniéj jego prawą ręką i długi czas domownikiem. Gdy Czartoryscy, chcąc sobie pozyskać Branickiego, wydali za starca piękną Poniatowską, sądząc że ona nad nim młodością swą, wdziękiem i rozumem zapanuje, stała się rzecz wcale niespodziewana: hetman ujęty zrazu przez żonę, wkrótce ostygł dla niéj, i nie zmienił ani polityki, ani przekonań. Żona nie potrafiła zapobiedz rozbratowi między familią Czartoryskich i Poniatowskimi. Położenie jéj w Białymstoku, przy całém poszanowaniu, jakie dla niéj miał stary mąż, stało się nieznośnem; kobiéta dumna, odosobniona, opuszczona, znalazła w przyjacielu hetmana Mokronoskim, doradzcę, pośrednika, sługę i... wielbiciela. Mąż patrzał zupełnie obojętném okiem na te stosunki, które trwały do jego zgonu, a po śmierci Mokronoski wziął ślub potajemnie z panią Krakowską.

Siostra królewska oddała mu dawno serce, późniéj rękę, ale tytułu pani Krakowskiéj poświęcić dlań nie chciała. Mokronoski był, o tém wiedzieli wszyscy, morganatycznym mężem siostry króla, miał wielkie znaczenie i zasługiwał na nie rozumem, taktem, wykształceniem, charakterem.

W tych latach trzymał się on dosyć zdala od dworu i polityki, do któréj pani Krakowska mieszała się chętnie, razem z bratem prymasem i całą rodziną, popierając stosunki ścisłe z ambasadorem. Bez pani Krakowskiéj rady, nie stąpił król; opowiadano pocichu, że ona z panią Grabowską, wprzódy niż król, depesze odpieczętowywały, i przez Komarzewskiego zdawały z nich sprawę, gdzie należało. Wojewoda we wszystkich tych intrygach, jakie się naówczas plątać zaczynały, gdy już partya pruska zawiązywać się miała, nie miał prawie udziału. Był to człowiek znużony, wyżyty, zobojętniały, rzeczy widzący dosyć czarno. Oprócz tego, od niejakiego czasu czuł się na zdrowiu gorzéj, i przesiadywał częściéj na wsi, zdala od coraz rosnące-

go gwaru stolicy. Mało go téż widywał wojewoda i przybycie starego przyjaciela było mu wielce pożądaném.

Przez żonę i matkę jéj odosobniany od świata, zamykany pod pozorem choroby, nie widując nikogo oprócz tych, których dwie jejmoście wybrały, stary nudził się i dręczył. Gdy mu oznajmiono o Mokronoskim, ręce wyciągnął chciwie, usiłował się podnieść z krzesła, wychylił się cały ku niemu, i gdy wszedł rzucił się go ściskać ze łzami, bo łzy teraz bardzo często i łatwo mu z oczów płynęły.

Mokronoski téż poruszony był widokiem chorego, którego jeszcze pamiętał żywszym, chodzącym i nie tak na zdrowiu podupadłym.

— Cóż się z tobą stało!—począł po francuzku, zbliżając się doń ze współczuciem—co ci jest?

— Pedogra!

— Ale my wszyscy ją mamy!—zawołał generał—chyba cię źle kurują, albo młoda żona nadto pieści.

Na wspomnienie żony, uśmiech jakiś dziwny skrzywił usta wojewodzie, i, jak gdyby wywołano ją temi słowy, weszła właśnie pani wojewodzina—z twarzą zarumienioną, z pałającemi oczyma, które jéj po kłótni z matką pozostały. Mokronoski pośpieszył ją powitać z wielką grzecznością, ale chłodno bardzo i ceremonialnie, chociaż młoda pani usiłowała go uśmiechami wymuszonemi skokietować i zyskać. Generał był już syt niewieścich wdzięków, pieszczot i uroków, nie dał się téż ująć łatwo.

— Panie hrabio—szepnęła mu zaraz przy powitaniu piękna wojewodzina, mój mąż jest niezmiernie osłabiony. Pewna jestem że go bytność pańska ożywi i poruszy, ale... żeby nie nadto... Męczy go teraz biédnego wszystko.

Mokronoski słuchał obojętnie, bystro patrząc w oczy mówiącéj.

— Niech się pani wojewodzina nie obawia o jego zdrowie—rzekł—znamy się dawno i blizko. Prosiłbym aby nas samych zostawić, bo mam w moim interesie kilka słów z nim do pomówienia.

Bardzo zręcznie tego krótkiego *a parte* użył generał, aby się pozbyć wojewodziny, która nie umiała mu odmówić, zawstydziła się, zmieszała i zaleciwszy, nader czule mężowi, aby się nie poruszał i nie męczył, przyczém nawet rączkę dała do pocałowania, co przy gościach prawie zawsze się trafiało, wyszła gniewna i nadąsana.

Starzy przyjaciele zostali sami.

Zdaje się że Mokronoski musiał być doskonale o stanie rzeczy w domu wojewody uwiadomionym; w chwilkę bowiem po wyjściu jego żony, poszedł do drzwi któremi się oddaliła i wyjrzał przez nie, czy ich nie podsłuchiwano: u drugich czuwał Filip.

Na te zapowiadające coś ważnego i tajemniczego przygotowania, chory spoglądał trochę niespokojnie.

Mokronoski siadł przy nim i ujął go za rękę.

— Stary mój—odezwał się—nie widzieliśmy się dawno, a otwarcie z sobą nie mówiliśmy dawniéj jeszcze. Nie gniewaj się na mnie, że się w twoje domowe wmieszam sprawy: jest to rzecz sumienia. Słyszałem żeś się wyrzekł syna z pierwszego małżeństwa?

Stary zbladł usłyszawszy to pytanie i drżący, oczyma obiegając po pokoju, z początku mówić nie mógł. Łzy znowu popłynęły mu z oczów.

— Powiesz mi że na to zasłużył—dodał Mokronoski—nie będę przeczył; musiałeś miéć ważne powody do tak stanowczego kroku. Chłopiec gorączka, szaławiła, nabroił wiele.

— Obraził, prześladował moję Dosię! musiałem—łkając rzekł wojewoda.

— Nie znam bliżéj i nie chcę nawet dowiadywać się przyczyn—mówił Mokronoski. Jestem pewny że twoja żona nie kierowała się nienawiścią, uprzedzeniem, że musiała miéć pobudki napozór słuszne, nalegając na oddalenie go; ale, kochany mój, znam doskonale i z dawna jéj matkę, starościnę, *sauf respect*, jestto intrygantka, bruljon i... niedobra kobieta. Jéj to sprawą wszystko. Nie dawaj się jéj zawojować.

Stary wojewoda rozpostarł ręce, oczy podniósł ku niebu, i z głębi piersi westchnął: była to wymowna protestacya, że radby to uczynić a sił mu braknie.

— Wieszże co z nim się dzieje?—zapytał Mokronoski.

Płaczliwym głosem jęknął wojewoda.

— A! wiem! znowu awantura jakaś z prostą dziewczyną i burda w karczmie. Zwalał się już do tyla że po szynkach lega.

— Gdzież zaś! — odparł Mokronoski — nieprawdę ci szeptali. Hulaka jest, prawda, ale nieupadł tak nizko. Ta prosta dziewka jest córką doktora niegdyś Sapiehów, piękna jak anioł. Albośmy to wszyscy tych słabości nie mieli? Ostatnia zaś awantura, którą bodaj że życiem przypłaci...

Wojewoda oczy sobie zakrył.

— Ranny szkaradnie—kończył generał nie rachując się ze słowami—posiekany i pobity, wiesz z jakiego powodu?

Ruszył ramionami stary.

— Ale ja o niczém nie wiem.

— Oto w garkuchni pod Orłem, mówiono głośno o tobie; nie znając go, jakiś błazen Francuz odezwał się uwłaczająco: twój syn dał mu w ucho... Ujął się *za ciebie*.

Wojewoda spojrzał z radością niemal na mówiącego.

— Miał pojedynek, leży między życiem i śmiercią...

Stary znowu zakrył oczy i jęknął.

— Książę Kazio, ja, i inni pewnie mają o nim i miéć będą staranie: nie opuścim go—mówił Mokronoski—ale ja przyszedłem do ciebie, jeżeli nie natychmiastowego przebaczenia żądając, to opieki, pomocy, nadziei chociażby że się te rzeczy ułożyć dadzą.

Człowiek jest nie tak zły, jak go okrzyczano; ustatkować się może, a gdy się go wszyscy zaprą... przepadnie.

— Prawda! prawda!—gorąco począł wojewoda, chwycił za rękę Mokronoskiego i chciał ją całować: generał go uścisnął.

— Krew ci to twoja!—rzekł.

Stary płakał na nowo; płacz ten był wprawdzie oznaką czułości, ale razem i osłabienia.

— Kochany mój—zaczął głosem przerywanym—dobry mój stary przyjacielu... zrób mi tę łaskę! mów z nią, z Dosią, ona ciebie posłucha... Uczyń to, na rany Chrystusowe!

Mokronoski się zamyślił.

Ciężkie to było zadanie, ale nie uląkł się go stary żołnierz, i człowiek co przebył w życiu wiele.

— Dobrze — rzekł. — Jednakże, ponieważ z kobietami sprawa nie łatwa i czasu zawsze potrzeba aby je skonwinkować, a twój syn leży otoczony obcymi, bez pomocy niczyjéj; daj mu jaki znak współczucia: być może iż i pieniędzy potrzebuje.

Wojewoda przyzwalająco kilka razy głową poruszył i powtórzył gorączkowo nagląc:

— Mów z nią! proszę cię: mów z nią!

Mokronoski pocałował go w czoło, wziął dzwonek ze stolika i poruszył go. Wszedł stary Filip.

— Mój kochany—rzekł do niego—poproś u pani wojewodziny o audyencyą dla mnie.

Skłonił się Filip i wyszedł.

Generał na weselszą umyślnie wpadł rozmowę, począł o Warszawie, o królu, o dworze, nawet o balonie Blancharda, o znajomych, o konjunkturach politycznych. Spodziewał się tém ożywić i zająć chorego, lecz widać było po nim że myślami był przy synu, i niepokoił się o zapowiedziane spotkanie generała z wojewodziną. Oczy roztargnione błądziły ku drzwiom, najmniejszy szelest go niepokoił.

Zamiast Filipa zjawił się w liberyi cytrynowéj wygalonowany lokaj pani wojewodziny, zapraszając do niéj wojewodę.

Mokronoski nie będąc pewnym czy powróci do starego, uściskał go serdecznie, coś mu pocieszającego szepcząc na ucho i wyszedł.

Przez cały szereg pokojów kosztownie świeżo z Anglii sprowadzonemi meblami zastawionych, przeszedłszy, Mokronoski wprowadzony został do gabinetu, w którym już nie sama wojewodzina, ale razem ze starościną na niego oczekiwała.

Zobaczywszy wyfiokowaną matkę, zmarszczył się Mokronoski.

Musiała przeczuwać, że nie będzie jéj rad, pani starościna, gdyż pierwsza ku niemu z nadzwyczajną i wymuszoną podbiegła grzecznością, uśmiechnięta, niby uradowana niezmiernie, papląc tak, że słowa mu się odezwać nie dała.

— Ten kochany wojewoda! i t. d.

Mokronoski zbywał komplementa ukłonami jak lód zimnémi i ceremonialnémi. Im on się stawił chłodniéj, tém starościna natarczywszą była.

— Cieszę się niewymownie, że widzę panią starościnę w tak wyśmienitym stanie zdrowia i jakby odmłodzoną—rzekł naostatek Mokronoski, nie dając się rozruszać i pozostając jak był sztywnym a ceremonialnym. Darujesz mi, starościno, ale ja mam czasu niewiele, a (tu się obrócił do wojewodzinéj, która się zarumieniła mocno) radbym na osobności pomówić z panią dobrodziejką!

Starościna usiłowała to w żart obrócić.

— A toż znowu co? chcesz mi córkę bałamucić, korzystając z tego, że nieboraczek mąż jéj niedomaga. O! przepraszam! ja jako matka, muszę stać na straży.

— Kochana starościno—odparł Mokronoski—dajmy pokój żartom: rzeczy są seryo!...

— Chcesz ją rozwodzić chyba!—dodała grając wesołą niezręcznie starościna.

Mokronoski był widocznie zakłopotany. Zwrócił się do wojewodzinéj:

— Racz mi pani dać kwadrans audyencyi sam na sam—odezwał się z widoczném nieukontentowaniem.

— Ale dlaczegóżby moja matka—sucho odrzekła wojewodzina — nie mogła być świadkiem rozmowy, ja dla niéj niémam tajemnic!...

— To nam utrudni porozumienie—dodał generał.

Starościna zesznurowała usta.

— Widzę, że się mnie generał boisz, albo mi niedowierzasz?

— A! pani dobrodziejko!—odparł grzeczny Mokronoski—ani jedno ani drugie, chciałem raczéj oszczędzić pani chwilkę może niemiłą.

Wojewodzina stała, jakby gotując się do wojny, przeczuwając ją; zbrojna już gniewem, zburzona, czekając tylko okazyi do wybuchu. Matka, znając ją, ciągle oczyma dawała znaki, aby panowała nad sobą.

Mokronoski, zawahawszy się chwilę, przystąpił wprost do wojewodzinéj, zupełnie ignorując już jéj matkę.

— Pani dobrodziejko—rzekł—przyszedłem tu w jéj interesie. Jestem starym przyjacielem tego domu, którego pani stałaś się ozdobą; z wojewodą przyjaciółmi byliśmy od dzieciństwa. To mnie tłómaczy, że popełniam niedyskrecyą.

Idzie mi o to, aby nie szarpano sławy waszéj i nie przypisywano wpływowi pani, tego, co się pewnie, mimo jéj woli stało. Potrzeba wojewodę skłonić do przebaczenia synowi.

Wojewodzina, jak oblana ukropem, zaczerwieniła się straszliwie, spójrzała na mówiącego i odparła stanowczo:

— Nigdy w świecie! Pomiędzy nami dwojgiem musi wybierać: między nim lub mną. Jestto wróg mój, oszczerca, człowiek nie wart litości!...

Starościna przypadła targając za suknią Mokronoskiego:

— Wiész, hrabio—zawołała—ten niegodziwiec, nikczemnik, kochał się w niéj i bez względu na ojca, chciał ją uwieść!

Mokronoski, słuchając, podniósł brwi, wykrzywił usta, miał wyraz twarzy tak niedowierzający, że starościna, choć nic nie powiedział, wybuchnęła:

— Waćpan mi nie wierzysz! tak! to rzecz monstrualna! pojmuję, ale tak było!

Wojewodzina nie zaprzeczała, stała drżąca od gniewu.

— Nie wchodzę w tę materyą tak delikatną, że ona do obcych uszu przystępu mieć nie powinna—odezwał się chłodno—tymczasem możecie panie być spokojne, serce jego zwróciło się gdzieindziéj. Szał czy uniesienie chwilowe przebaczyć mu należy, niéma zresztą potrzeby, aby tu przebywał i mieszkał, niech tylko ustanie skandal. Idzie mi o to zarówno dla niego, jak dla pani; nadewszystko dla starego chorego, mojego przyjaciela, który to rozłączenie ze swym pierworodnym, życiem przypłacić może.

Zwrócił się ku wojewodzinie.

— Gdy jego noga próg tego domu przestąpi—odezwała się—ja wyjdę ztąd nazawsze.

— A!... ręczę!—dodała gwałtownie starościna—że stary, waćpana przyjaciel, który bez syna żył, bez żony jutro umrze.

—Ta zgoda jest w interesie pani wojewodzinéj—rzekł jakby nie słuchając generał.—Powtarzam, mówię w sprawie waszego domu, czci jego i reputacyi.

— Proszęż znów tak się nami nie opiekować—wyrwała się starościna—ja jestem matką, mnie chodzi o opinią dziecka. Waćpan nie znasz tego, za którym przemawiasz!

— To żmija! to padalec!—przebąknęła wojewodzina trzęsąc się.—Na żadną zgodę ja nie pozwalam. Wojewoda raz się go wyrzekł, nie jest mu synem.... Proszę nie wznawiać rzeczy skończonéj.

Mokronoski z góry począł patrzéć na dwie kobiéty zburzone, miotające się, ciskające nań wejrzeniami, pełnémi nienawiści. Nie było już tu nic do zrobienia, westchnął i kapelusz wziąwszy do ręki, do wyjścia się zabierał.

Wojewodzina, choć go odprawiła tak stanowczą odmową, widząc stoicyzm, z jakim ją zniósł, uczuła się niespokojną. Wojewoda już się im kłaniał chłodno, nie mówiąc słowa, gdy nieco ochłonąwszy, zostawiając matkę za sobą, zastąpiła mu drogę i poczęła go przeprowadzać, już zmierzającego do wyjścia.

— Proszę się nie dziwić mojemu uniesieniu—rzekła trochę spokojniéj. Umiem uszanować szlachetne pobudki, które pana do tego kroku skłoniły, ale po tém co zaszło między mną a tym człowiekiem

nikczemnym, a o czém ja mówić nie chcę i nie mogę, wszelka zgoda byłaby potępieniem mojém i śmiercią dla mnie...

— Mnie się to wydaje inaczéj—odparł Mokronoski—zrobiłem to, do czegom się czuł obowiązanym. Rzecz skończona!...

Skłonił się zatrzymującéj go oczyma pani i wyszedł szybko.

Starościna, zaledwie go z oczów straciwszy, pobiegła do pokoju zięcia. Od wyjścia Mokronoskiego wojewoda z chustką przy oczach, sparty na ręku, siedział nieruchomie. Zobaczywszy starościnę począł ocierać łzy szybko.

— A to prawdziwe nieszczęście z takimi kochanymi przyjaciółmi—zawołała od progu starościna. Poco było puszczać go tutaj, żeby waćpana chorego nękał swémi niedorzecznémi propozycyami!

Nie otrzymawszy żadnéj odpowiedzi, poczęła żywo przechadzać się po pokoju, gdy i córka, z rumieńcami wypieczonémi na twarzy wpadła wprost, biegnąc do męża.

— Śliczną historyą nam wyprawił ten nieproszony przyjaciel—poczęła dysząc z gniewu. Miał impudencyą do mnie z tém przyjść i dawać mi nauki, których nie potrzebuję.

Pewnieś go waćpan przysłał?—krzyknęła ręką wskazując na zbolałego starca.

— Ale ja o niczém niéwiem!—wyparł się wojewoda.—Dosiu, serce moje! ja, ja..., ale nie gniewaj-że się.

— Jak się mam nie gniewać, kiedy to dowodzi, że waćpan zawsze marzysz jeszcze o zgodzie z synem, na którą ja póki żywa nie pozwolę! Pomiędzy mną a nim masz do wyboru.... Mówiłam ci to raz!

Wojewodzina, z rękami ku twarzy starego wyciągniętémi, stała zdając się mu grozić. Wojewoda usiłował ręce jéj pochwycić, ale zaledwie dotknął ich, wyrywała mu z wyrazem oburzenia.

W ostatku, gdy dwie kobiéty zobaczyły go drżącym i chwytającym się za piersi, a twarz jego okrytą sinością, która uderzenie krwi niebezpieczne oznaczała, ulękły się, umilkły i starościna zadzwoniła, wołając, aby doktora sprowadzono.

Czas było w istocie, gdyż wojewoda mówić już nie mógł, głowa zwisła na piersi.

Wojewodzina wybiegła jak oszalała, oskarżając matkę, matka obwiniając córkę. Życie wojewody było im jeszcze potrzebném i nie

czułość, ale interes wywołał tę trwogę. Poruszono dom cały, przeklinając Mokronoskiego.

Szczęściem wysłani po doktora powrócili z nim prędko, a pierwszym jego przepisem było, ażeby oprócz Filipa nikt do pokoju chorego nie wchodził. Znano stosunki domowe. Wojewoda pozostawszy sam, odetchnął i uspokoił się, atak nie był na ten raz niebezpiecznym, a uwolnił go od wymówek i sekatury....

Uspokoiły się téż dwie panie, a przybycie gości, przynoszących z sobą rozrywkę, wkrótce rozproszyło chmury z czoła gospodyni i jéj matki.... Posyłano tylko dowiadywać się, co się dzieje z wojewodą. Doktor nakazał absolutny spoczynek.

III.

Strańska oczom wierzyć nie chciała, ujrzawszy dnia jednego brykę zajeżdżającą przed dworek, z której wysiadł najprzód doktor Mellini, a po nim Pepi. Nie miała ona żadnych wiadomości z Warszawy i zobaczywszy ją powracającą, załamała ręce, domyślając się, iż narzeczony umrzéć chyba musiał. Wicek leżał wprawdzie chory jeszcze, cierpiąc ciężko, ale o życie jego nie rozpaczano.

Gdy Mellini zajechał wypadkiem pod Orła, ledwie od godziny była Pepi przy chorym. Wojewodzic zobaczywszy ją przy sobie, wzruszony był nadzwyczajnie; dziewczę zaklinało się że go nieopuści: w tych pierwszych chwilach uniesienia, doktor wszedł jak widmo straszliwe... Padła na kolana przed nim siostrzenica, usiłując go przebłagać.

Mellini już miał obmyślony tryb postępowania, wiedział że gwałtownością nie pokona dziewczęcia, znalazł się bardzo rozumnie.

— Zrobiłaś mi przykrość—odezwał się łagodnie—ale ja więcéj winienem niż ty... Nie przepraszaj mnie. Uczyniłaś wybór, rzecz jest skończona.

— Nikt nie winien oprócz mnie—przerwał chory—spodziewam się zmazać winę moję...

Tak rozpoczęta rozmowa, którą jak najchłodniéj starał się prowadzić Mellini, skończyła się zgodą i pojednaniem. Dozwoliwszy czas jakiś posiedzieć przy chorym siostrzenicy, doktor zabrał ją z sobą, ażeby spoczęła.

Łagodność wuja, której się wcale nie spodziewała, przejęła biédną dziewczynę taką wdzięcznością, że mu się całkiem oddała.

Nazajutrz i dni następnych, doktor z siostrzenicą czuwał sam nad chorym, opatrywał rany, ale zarazem Beckera namówił, aby on wymagał oddalenia panny, dopókiby wojewodzic nie wyzdrowiał. Umiał

sprawę tak prowadzić Mellini, tak wmówić w swą Pepi potrzebę powrotu, iż się nareszcie zgodziła oczekiwać na narzeczonego w Lublinie. Wojewodzic miał przybyć tam, skoroby mu stan zdrowia ruszyć się dozwolił.

Z niezmierną zręcznością prowadził całe te rokowania przebiegły Włoch, wcale co innego mając na myśli, niż to czém siostrzenicę uspokajał. Miał nadzieję, że to niefortunne małżeństwo rozerwać potrafi, że wojewodzic bałamut zapomni Pepity, a ona opłakawszy go, inny wybór uczyni. Z planem tym wiązały się rozmaite poboczne, do wykonania jego obmyślone środki. Mellini chciał powróciwszy do Lublina, rzucić ustronny dworek, przenieść się do miasta, dom otworzyć, dać czuć że wyposaży Pepi bogato, i spodziewał się że ktoś inny się jéj trafi.

— Żebym ją zaś miał dawać na stracenie w pański dom, takiemu rozpuszczonemu chłopcu, który jéj wiary nie dotrzyma, i wprowadzi ją w świat, w którym się ona popsuć musi! nigdy w świecie! Pepi się uniosła, pierwsza gorączka przeszła. Na wybryk ten nikt zważać nie będzie... Znajdę jéj innego męża.

O tém wszakże nie mówił Mellini i rolę swoję odegrywał z niezwykłą charakterowi swemu chytrością. Pepi, którą zapewniono że wojewodzic żyć będzie, dała się wziąć wujowi, była pewną że jéj ukochany słowa dotrzyma. Była prawie szczęśliwą, bo o szczęściu marzyła, a marzenie o niém, często rzeczywistość przechodzi!

Mellini rozpytywał ostrożnie Pepi, jakim sposobem mogły się zawiązać stosunki z wojewodzicem, ale, oszczędzając Strańską, nie wydało jéj dziewczę.

Gdy bryka zaszła i wdowa zobaczyła przybywających, paliła ją żądza okrutna dowiedzenia się co się stało, obawiała się jednak narazić na jaką nieprzyjemność od doktora. Cichaczem na zwiady wysłała służącą, a niebawem i Pepi nadbiegła do niéj, rzucając się jéj na szyję.

Spłakały się najprzód obie, potém rozmowa poczęła w ten sposób, że wdowa z niéj nic zrozumieć nie mogła; naostatek z obłamków i wykrzykników dowiedziała się o rzeczy, nie mogąc tylko pojąć jakim sposobem Mellini przebaczył, zgodził się na wszystko, i stał tak powolnym.

— A!—zawołała Pepi—bo ty nie wiesz jak złote serce ma ten mój wuj drogi, ty go nie znasz... Ja padam na twarz przed jego anielską

dobrocią: nie uczynił wymówki, przycisnął do piersi, przebaczył, pobłogosławił.

Nastąpiły zapytania nieskończone o zdrowie wojewodzica, o jego usposobieniu, czy przyrzekł małżeństwo i kiedy ono nastąpić miało.

— Ja powróciłam robić wyprawę—mówiła Pepi—bo rozumiesz to, że idąc za takiego pana, muszę mieć paradną! a! bardzo paradną! Wujaszek daje pieniędzy ile zechcę a sam mi to powiedział. A! ten wujaszek, jam go nigdy sobie takim nie wyobrażała, ja go nie znałam!

Mówiono o wyprawie razem i o kochanku, jak ją przyjął wojewodzic, jak się mu rzuciła na piersi, jak krew mu z ran płynęła, jak oczy łez miał pełne, a potém jak się żegnali, i kiedy miał przybyć niezawodnie, aby rekonwalescencyą tu przy niéj przesiedzieć. Pepi utrzymywała, że wojewodzic był do niepoznania zmieniony, łagodny, i rozkochany więcéj jeszcze.

Jasna przyszłość otwierała się przed oczyma pięknéj Pepi, która ledwie nie dziękowała Opatrzności iż się tak wszystko dziwnie a szczęśliwie dla niéj składało. Dwie przyjaciółki nagadać się z sobą nie mogły, nacieszyć sobą, a te miejsca tak pamiętne dla Pepi we dworku, obudzały wspomnienia i powiększały jeszcze jéj miłość dla nieobecnego... Strańska pod wrażeniem téj historyi, prawie do wiary niepodobnéj, stała milcząca i słuchała szczebiotania Pepi. Ta z godzinę posiedziawszy pobiegła do wuja.

Wdowa gotową była skład osobliwy okoliczności przypisywać swojemu nabożeństwu na tę intencyą z nowenną odprawionemu.

Nazajutrz wracając z miasta wstąpił do niéj doktor Mellini, uderzyło ją że stary przyjaciel wcale tak szczęśliwym się nie wydawał z tego wszystkiego jak rozkochana Pepi. Nie wygadywał się bardzo, wzdychał, uśmiechał ironicznie.

Wdowa mu winszowała.

— Winszować nie ma czego—odpowiedział. Gdybym miał do wyboru, wolałbym ją był wydać za poczciwego felczera niż za potłuczonego wojewodzica; ale sobie wybrała: trudno... My głupi starzy wyobrażamy sobie że młodą dziewczynę możemy dopilnować! Ja miałem też tę illuzyą. Chwała Bogu, drugiéj do strzeżenia nie mam: rzecz skończona.

Strańska, niezapominająca o własnym interesie, napomknęła o tém, jak doktor, po wyjściu siostrzenicy za mąż, zostanie osamotniony.

— Cóż robić! zostanie mi Gawłowska—rzekł śmiejąc się Mellini—no, i szpica sobie wezmę do kompanii, aby mi zbyt nudno nie było.

Strańska miała nadzieję innego obrotu rzeczy, dodała więc:

— Spodziewam się że sąsiad wówczas i o mnie będziesz więcéj pamiętał, a moję samotność rozrywał, przychodząc codzień na kawę.

Mellini się skłonił.

— Moja mościa dobrodziejko! z największą wdzięcznością, byle złe języki się na nas nie uwzięły, i nie posądzano mnie że się o Helusię staram.

— Helusia ma siódmy rok!

— To niéma nic do tego!—odparł doktor—wiadomo że starzy lubią się zawsze żenić z jak najmłodszemi. Ojciec pana wojewodzica naszego, lat ma pod siedmdziesiąt, a żona mało co nad dwadzieścia!

Strańska słuchała, doktor pobaraszkowawszy trochę, pożegnał ją. W parę dni potém dowiedziała się wdowa z wielkim bolem serca, iż pono straci sąsiadów, gdyż doktor najął kamienicę przy ulicy Grodzkiéj, i tam się miał przenosić, utrzymując że to dla wojewodzica czyni... W ciągłym był teraz ruchu, bo i pacyentów nie zaniedbując, przenosinami był zajęty, i kupował wiele rzeczy do nowego domu, i znajomości robił chętne, zwłaszcza osób średniego stanu, gdy dawniéj stronił od nich i unikał.

Zapewne z téj zmiany systemu wynikło, że po powrocie, bez żadnego interesu zaszedł raz do Daliborskiego. Mecenas był uwiadomiony o wypadkach warszawskich, bo pisane gazetki dochodziły go dwa razy na tydzień, a w nich mieściły się nowinki wszelkiego rodzaju, rad był jednak z ust doktora dowiedzieć się o szczegółach. Winszował mu zimno zięcia, chociaż nie taił że z nim będą mieli wiele do czynienia, nim go na swe kopyto nabiją.

Panu staroście, chociaż nie wydawał się z tém wcale, nie w smak szło to wszystko.

— Jestto zapewne—odezwał się do doktora, powinszowawszy mu—bardzo świetny maryaż dla siostrzenicy pana konsyliarza; senatorska familia, ani słowa, ale, między nami powiedziawszy, młodzieniec potrzebuje się utemperować: ojciec go znać nie chce, majątku niéma.

— O majątek mi nie idzie—odparł Mellini z trochą dumy—nie darmo się całe życie pracowało; kilkadziesiąt tysięcy czerwonych złotych dam Pepi, majątki teraz tanie: piękne dobra kupić możemy.

— Ani słowa—odpowiedział Daliborski—ja sam, gdybyś asan dobrodziéj seryo o kupnie zamyślał, nastręczę mu posiadłość w najlepszéj glebie za bezcen.

— Tymczasem jeszcze myślę temporyzować — rzekł doktor z ukłonem.

— I lepiéj—pochwalił mecenas—na rozpatrzeniu się nie traci. Niechno wyzdrowieje wojewodzic, niech się jego interesa wyklarują...

— Onci żadnych niéma, kiedy mu ojciec nie daje złamanego szeląga—rozśmiał się Mellini.

— Tak! co się tyczy majątku, ten on już stracił, nim go do rąk dostał—rzekł mecenas—ale jest tam inna okoliczność. Naraził się macosze, a to jest jéjmość zawzięta i mogąca mu szkodzić na każdym kroku. Lękam się, abyś pan konsyliarz nie miał z téj okazyi wiele jeszcze utrapienia. Z człowiekiem téż wybujałym, rozpuszczonym, nim się go obuzda, będzie roboty dużo.

Darujesz mi, pan konsyliarz—dodał starosta — iż tak otwarcie się przed nim wyrażam, ale z życzliwości to czynię.

Doktor począł dziękować, uściskali się razy kilka. Mecenas niekoniecznie pochlebnie i z przekąsem odzywał się o młodéj wojewodzinie, dał téż do zrozumienia Melliniemu, że téj wielkiéj nienawiści wojewodzinéj dla pasierba przyczyną była pono, jak ludzie mówili, wielka miłość. Ztąd wziął assumpt do ubolewania nad tém, że wojewodzic był bałamut wielki i że uczuciom jego najgorętszym trudno było bardzo zaufać.

Mecenas prowadził to bardzo zręcznie i dziwiło go, że na doktorze nie czynił wrażenia, jakie się wywrzéć spodziewał.

Mellini w duchu myślał sobie, że z tego wszystkiego nic nie będzie, że małżeństwo się przewlecze, a zapowiedziane kilkadziesiąt tysięcy dukatów, nowego ściągną konkurenta.

Tak się rozstali. Po wyjściu doktora Daliborski wziął mocno na uwagę, jak szkodliwym być mógł ów maryaż wojewodzica dla jego nieprzyjaciółki.

Człowiek się mógł, pod wpływem żony i nowego trybu życia, ustatkować, stać się przyzwoitym obywatelem i być żywém obwinieniem wojewodzinéj; tego małżeństwa, mówił w duchu, nie potrzeba dopuścić, bo wojewodzic ocaleje, a ocaléć nie powinien, gdyż to dla jéjmości wieczną będzie groźbą.

Co się tyczy środków przeszkodzenia małżeństwu, Daliborski, troskliwy o dobro swéj klientki, miał ich szukać jeszcze, a niebędąc wybrednym w wyborze, znaleźć się je spodziewał. Kilkadziesiąt tysięcy czerwonych złotych, o których mówił doktor, mocno mu utkwiły w pamięci. Można było doktora, mało obeznanego z wartością dóbr, wpędzić na mieliznę i skorzystać. To téż do pogardzenia nie było.

Daliborski ze wszech względów znajdował właściwém zbliżyć się do doktora, obudzić w nim zaufanie i spodziewał się wpływ wywiérać. Wyobrażał go sobie daleko dobroduszniejszym, niż był w istocie.

Pepita prawie codzień teraz pisywała listy do narzeczonego, wuj nie śmiał jéj tego zakazywać. Wojewodzic pisać nie mógł, bo jeszcze ręką prawą nie władał, ktoś jednak zawsze uproszony, dawał o jego zdrowiu wiadomość.

Czuwano nad nim aż nadto, bo i wojewodzina miała pilne oko. List Daliborskiego trafił bardzo do jéj przekonania, ona także chciała małżeństwu przeszkodzić, w interesie jéj było, aby ojciec nie posłyszał o nim nic dobrego i coraz się bardziéj odstręczał. Wpływała na to nieznacznie, ażeby choroba i kuracya się przedłużały.

Ale krew tych królów gockich bajecznych, która płynąć miała w żyłach wojewodzica, młodość jego, prędzéj niż chciano, dźwigały go z posłania. Zaczynał się przechadzać po pokoju, choć z trudnością. Im więcéj mu zdrowia i życia powracało, tém się nudził straszliwiéj. Nawiedzali go wprawdzie niekiedy przyjaciele i znajomi, lecz ci, jak książę Kazio niemieli czasu siedzieć długo.

Właśnie w tych czasach spodziewane otwarcie sejmu, przygotowane wydanemi listy Kołłątaja do Małachowskiego nastąpiło. Książę nad wszelkie spodziewanie, razem z Arystydesem wybrany został marszałkiem sejmowym. A że rozrywek, do których był nawykł, wyrzec się nie mógł, całe dnie prawił mowy i laską stukał, a całe nocy w wesołém spędzał towarzystwie i ledwie mimojazdem, wpaść mógł na maleńką chwilę. Naówczas ledwie się uścisnęli strasburscy koledzy i rozstawać musieli. Rozrywano księcia marszałka, którego wszyscy kochali, bo choć płochym był, jak znaczniejsza część ówczesnéj młodzieży, serce miał poczciwe i charakter szlachetny.

Sejm ten zaraz w początkach tak gorąco zaprzątał wszystkich, iż nie było człowieka, coby czynnym będąc lub nie, widzem nie był namiętnym i słuchaczem chciwym. Obok spraw najwyższéj wagi, ty-

siące drobnych intryg się osnuwało, małżeństw kojarzyło, knuło rozwodów, bałamuctw rozwijało w cieniu.

Warszawa pełną była cudzoziemców ciekawych i wyzyskujących natłok ten a rozgorzenie umysłów.

Rzecz niesłychana, nie do wiary, wiekami u nas niepraktykowana, zaprzątała ludzi: przyjaźń z Niemcem i przymierze z Brandeburczykiem. Najrozumniejsi ludzie zdawali się wierzyć w jego możliwość i zaręczać za szczery afekt, jaki następca Fryderyka II okazywał dla Rzeczypospolitéj. Obałamucenie tém było tak wielkie, tak powszechne, iż w końcu niedowiarków nawet nawracało.

Milczący, ciężki, niesmaczny, stojący dotąd w cieniu Bucholtz, poczynał odegrywać jakąś rolę. Obiecywano mu przydać żwawszych adjutantów. Starosta Hamersztyński, teść jego, z którego wszyscy się byli naśmiewać przywykli, zyskiwał na wadze i powadze. Zwrot to był tak osobliwy, iż poważniejsi a zimniejsi usuwali się, aby z nim nie walczyć, a na ustroniu go przeczekać. Ale co było żwawszego, ciekawszego, chciwego wrzawy, zabaw, wrzątku a tłumu biegło do Warszawy i przepełniało ją.

I stało się, że jednego rana, gdy pani wojewodzina robiła toaletę, nakazawszy, aby do starego jegomości nikt bez jéj wiedzy wpuszczanym nie był, otwarły się drzwi jéj buduaru i ze śmiechem wbiegła skacząc, młoda, śliczna osóbka, upojona weselem, roztrzpiotana, rzucając się na jéj szyję.

— A co?—krzyknęła!—a co? widzisz! i ja jestem w Warszawie! Raz się trzeba było z téj tyranii mężowskiéj wyzwolić! Dałam mu abszyt! Adieu!

Osóbka ta, woniejąca, śmiejąca się cała, bo począwszy od oczów i ust, aż do drobnych nóżek, wszystko się w niéj śmiać zdawało, była jak cukierek różowa, śliczniuchna, wdzięczna, miała w sobie coś kwiatka i coś ptaszka, coś i dziecka, coś motyla, a okrutnie wiele trzpiota.

Zaledwie uścisnąwszy wojewodzinę, furknęła po pokoju, zaczęła chwytać i rzucać porozkładane suknie, porwała grzebyk z tualety aby poprawić fryzurę, flakonik aby go powąchać; drugi raz uścisnęła Dosię, powiedziała jéj że wypiękniała i pokręciwszy się tak, padła nareszcie na krzesełko, na którém siedząc, nóżkami tupała, rączkami rzucała, tak jéj trudno było usiedzieć spokojnie.

Cacko to było ta kobiécina. Mała, ale jak laleczka zręczna, pyszczek różowy, oczki czarne, włosy krucze, płeć śnieżna. Z Dosią

wojewodziną wychowywały się niegdyś w sąsiedztwie, były serdecznémi przyjaciółkami. Lat kilka jednak się już nie widziały. W téj chwili zwano tę śliczność panią stolnikową, a poufali jéj imię Amalii, spieszczali na Malinkę. W istocie lepiéj jéj nazwać nie było podobna: była to jagódka dojrzała.

Widok jéj trochę dziwne wrażenie uczynił na wojewodzinie, była jéj rada i zakłopotana. Malinka bowiem w całém znaczeniu tego wyrazu była, *un enfant terrible*, podpatrzéć umiała wszystko, wyszperać, domyślić się i wygadać. Żadną potęga w świecie ślicznych jéj ust zamknąć nie mogła. Śmiertelny grzéch własny umiała wypaplać. Przy najlepszém sercu była to istota najsłabsza w świecie, grzesząca bez świadomości grzéchu i duchowny jeden owych czasów powiedział o niéj, że stolnikowa tyle była winna, w tém co popełniała w ciągu życia, co wróble i sroczki.

Dla jéj niezrównanego wdzięku i naiwności, ludzie jéj przebaczali wszystko.

Zaledwie usiadła, gdy załamawszy rączki już świegotać poczęła.

— Moja Dosiu, moja Dosiu! ty chyba niémasz pojęcia, jak ja jestem nieszczęśliwa.

— Ty!

— Ja! a! ja! Wystaw sobie, jak to niedawno, gdyśmy były pannami i gdy w nas obu kochał się wojewodzic.

Wojewodzina się mocno zarumieniła.

— Ale proszę cię! on się nigdy nie kochał we mnie!—przerwała.

— Wiém, wiém, że tego teraz mówić niewolno, gdyż ci wypadło pójść za jego ojca; ale proszę cię, juźci szalał za tobą... Ze mną sobie żartował, choć ja! a! ja to się w nim doprawdy kochałam! A! taki był śliczny. Proszęż cię, w ciągu tych kilku lat, wiész! trzech mężów miałam. Jak cię kocham, trzech! A oto trzeciemu dałam abszyt, bo mnie znudził śmiertelnie.

Wojewodzina przerwać chciała, nie dała jéj mówić Malinka.

— Posłuchaj tylko. Pierwszy, to wiész, tego mi opiekun narzucił; z góry wiedziałam, że z nim żyć nie będę, alem się potrzebowała raz uwolnić i wyjść w świat. Szczęściem, że w intercyzie było dobre zastrzeżenie na wypadek rozwodu, we dwa tygodnie ułożyłam się tak, żeby on sam zażądał rozstać się. Odetchnęłam... Drugiego, zdaje mi się, żeś nie znała, byłto ten poczciwy kasztelanic S...., który tak się kochał we mnie, żem się ulitowała. Niczego był, tylko taki

miał nałóg, że coraz to jednę stronę twarzy marszczył i pociągał. W końcu mi to tak na nerwy działało, żem mu powiedziała, że umrę, jeżeli mnie nie uwolni. Ale to poczciwości człowiek był, bo i zapis mi zrobił i śliczne brylanty darował, no i poszedł sobie.

Stolnik, trzeci, który mi już kością w gardle siadł, gdziem oczy i rozum miała, gdym go sobie wzięła? Statysta, pedant, nudziarz i, co najgorzéj, taki zazdrosny, powiadam ci, taki zazdrosny, że mnie do rozpaczy przyprowadził. Do nikogo się uśmiechnąć, z nikim pogadać; zaraz fochy, wyrzuty, dąsy, gniewy.... Bardzo mi się podobał Francuz, który był w sąsiedztwie: wesoły, wyśmienity człowiek! bawił mnie, ale zresztą—co mi tam! Zrobił mi historyą, złapawszy dwa listy i dowiedziawszy się, żem mu parę razy w lasku dała *rendez-vous!* Nakoniec musiałam mu powiedzieć słowa prawdy! Kiedy tak, to tak! Bywaj zdrów! adieu! i oto mnie masz!...

O! teraz, daję słowo, nie rychło się dam wciągnąć i już nie zrobię tego głupstwa, żebym szła za mąż. Chcę użyć swobody. Z trzech rozwodów mam tyle, że mogę na czwarte małżeństwo poczekać...

Wojewodzina słuchała zmieszana trochę, stolnikowa mówiła ciągle.

— Podziękuj-że mi, pierwsza moja wizyta do ciebie! Zmiłuj się, mów, ucz mnie, kieruj, poddaję się pod twoję komendę. Bądź moją mistrzynią!

Wojewodzinie uśmieszek politowania zarysował się na ustach.

— A! ty trzpiocie kochany! a któż potrafi pokierować takim powiewem wiosennym. Jesteśmy rówieśnice, a ja przy tobie starą się wydaję.

— Gdzież tam! gdzież tam!—zawołała Malinka—patrzże, już mi te dwa dołki, które kawalerowie tak adorowali, zaczęły znikać: twarz mi się wyciąga.

— Śliczna jesteś—zaprzeczyła wojewodzina.

— No, ale mówmy o tobie! o tobie!—przerwała stolnikowa.— Myślałam, że zwaryuję, gdym się dowiedziała, że poszłaś za wojewodę. Nie chciałam wierzyć, pamiętając to okno.

Wojewodzina syknęła i blada, zmarszczona, pogroziła jéj palcem.

— Moja matka chciała koniecznie tego maryażu—szepnęła pocichu.

— A z wojewodzicem cóż się stało? Chyba sobia w łeb strzelić musiał—zawołała Malinka.

Dosia wojewodzina nie odpowiedziała na to pytanie, spuściła oczy. Widać było, że przed gadatliwą przyjaciółką nie chciała się spowiadać, ani z uczuć, ani z wypadków.

Zrobiła minkę smutną.

— Wielką mi łaskę uczynisz—poczęła po namyśle—gdy o nim i o wszystkiém dawném nie będziesz więcéj wspominać. Pojmujesz sama, jakto dla mnie rzecz przykra, bolesna *enfin*, nie mówmy o tém. Obwiniają mnie ludzie i on pewnie także, żem go z ojcem poróżniła, chociaż ja, ja sobie nic a nic do wyrzucenia niémam. Ale stało się, że ojciec go wydziedziczył, wypędził, on sam najwięcéj winien temu.

Stolnikowa słuchała dziwnie.

— Cóż się z nim stało?

— A! prawdziwie nie wiem! — odparła wojewodzina. — Ojciec śmiertelnie zagniewany.

Chwilę milczenia przerwała Malinka.

— Mój Boże! coto za położenie twoje. Ja nie wiem, czy kiedy co podobnego nawet w romansach się trafi!

I powtórzyła:—ale cóż się z nim stało?

— Mówiono mi, bo ja tam dobrze nie wiem—odezwała się zcicha wojewodzina—że się strasznie rozpuścił.

— A! to z desperacyi, biédaczysko!

— Teraz pono porąbany leży gdzieś chory w Warszawie—dokończyła wojewodzina!

— Tu! w Warszawie! porąbany!—zakrzyknęła stolnikowa.

Trudno odgadnąć, jaki w tém interes miała macocha, lecz popatrzywszy na stolnikową, zdawała się myśl jakąś nawiązywać i mówiła żywiéj:

— Ja nic nie wiem, nie mogę wiedziéć i nie chcę, ale matka mi wspomniała, że miał jakiś nieszczęśliwy romans z córką doktora, że go zmuszają do ożenienia z nią, że dziewczyna aż tu za nim przyleciała. Był bez nadziei życia, teraz się ma lepiéj.

— Nic nie wiesz, a wszystko wiesz!—przerwała stolnikowa śmiejąc się.—O! że ja się dowiem o wszystkiém dokładnie, za to ręczę! Przecie jestem obowiązana, bo trochę się i we mnie kochał.

Zaczęła się śmiać mocniéj.

— A co ja! to szalałam i byłabym cię wówczas z zazdrości zabiła, gdybym siłę miała.

Wojewodzina z ironicznym uśmiechem szepnęła:

— *Et l'on revient toujours...*

— On ze mną nigdy przecie nie był tak blizko, jak z tobą —odezwała się Malinka—wszystkiego raz tylko, roztrzpiotawszy się mnie pocałował. Myślałam że zemdleję... Dziś jeszcze ten pocałunek czuję.

— Łatwo go możesz odnowić—szydersko syknęła wojewodzina, zaczęła coś poprawiać około stroju i zwróciła rozmowę.

— Więc myślisz zamieszkać w Warszawie?

— Dopóki mi się nie znudzi—odpowiedziała pani stolnikowa.— Trzeci dzień jestem, wydaje mi się zachwycająca. Byłam wczoraj w teatrze; a! co za tualety! jaki parter! ile młodzieży! Byłam nie bardzo ubraną, musiałam się kryć w loży. Teatr wyborny. Mówiono mi, że jest heca: ja pasyami lubię hecę! Niech sobie mówią co chcą, to porusza ogromnie, a ja lubię, gdy mnie co mocno porusza.

— Na wzruszeniach pewno ci zbywać nie będzie!—dodała wojewodzina—na zabawach także. Często po dwa i trzy bale mamy jednego wieczora, a przyjęć bez końca...

— Ty bywasz wszędzie?

— Jestem zmuszona!—krzywiąc się rzekła wojewodzina.

— *Une douce violence!*—uśmiechnęła się stolnikowa.—I w zamku?...

— A jakże!

— U pani krakowskiéj? U hetmanowéj, u ks. marszałkowéj?

— Wszędzie!—zimno rzekła wojewodzina.

— Jaka ty jesteś szczęśliwa!—poczęła Malinka.—Ja dopiéro nowicyat muszę zacząć odbywać, ale nie desperuję!

Uśmiechnęła się, spoglądając we zwierciadło, które jéj odpowiedziało, że miała zupełną słuszność.

Chciała coś jeszcze zagadnąć o wojewodzica, gdy drzwi się otworzyły i wyfiokowana już, weszła starościna. Nie poznała zrazu, czy udała, że nie poznaje stolnikowéj, która się jéj ze zwykłą swą trzpiotowatością przypomniała.

Starościna przyjęła ją zimno i ceremonialnie: gość ten nie był jéj do smaku. Bała się paplarstwa o przeszłości, któréj stolnikowa żywym była świadkiem.

— Jakże mam cię tytułować?—odezwała się—bo doprawdy nie jestem pewna? Podobnoś się rozwiodła?

— Dwa razy, a dla trzeciego rozwodu przybyłam właśnie—wesoło odparła stolnikowa.—Ale bo ci mężczyzni są doprawdy nieznośni. Tak, na krótko *une liaison ephemère*, jeszcze się przeżyje, a wiekuisty związek niemożliwy. We dwa tygodnie ja już każdego tak znam, że nim usta otworzy, wiem co powié. Jakże tu z nim żyć. Zaczynają od ubóstwienia a kończą na grubiaństwie: doprawdy wolałabym odwrotnie!...

Rozśmiała się sama z konceptu, ale postrzegłszy, że dwie panie były jakieś chmurne i zimne, dłużej już bawić nie chciała.

— Pani stolnikowa... myśli zabawić w Warszawie?—spytała starościna.

— Całą zimę; potém, zobaczę! Doktor mi radzi, żebym bardzo nie utyła, wcześnie pić karlsbadzkie wody. A! ja się tak lękam utycia! Z moją maleńką figurą, byłabym jak gałeczka z chléba.

— *A croquer!*—grzecznie dodała starościna.

Odprowadzona do drzwi, ale nie zapraszana, trochę urażona, oddaliła się pani stolnikowa. Siadając do karety, myślała:

— *Sont elles devenues bégueles!* co się to z nich porobiło! Mniejsza o to! Nie bardzo mnie one chcą znać, to się ja bez nich obejdę!

I rozśmiała się do siebie piękna Malinka, a że patrzała na ulicę, przechodzący wzięli pewnie uśmiech za rzuconą im przynętę i postawali na chodnikach. Śmiejąc się mocniéj jeszczcze, stolnikowa schowała się w głąb' powozu.

IV.

Wojewodzic powoli przychodził do zdrowia, nie groziło mu już niebezpieczeństwo, ale doktorowie długą rekonwalescencyę zapowiadali. Siły były wyczerpane życiem nad miarę nieopatrzném, wyszafowaném z rozrzutnością rozpaczliwą, jakby go się pozbyć chciał Wicek.

Wśród leczenia przypadały rozmaite niespodziane komplikacye, polepszenie zmieniało się w stan groźny niemal, w skutek nieustannych wybryków.

Zaledwie mogąc się poruszać wojewodzic, potrzebował wrócić do tego trybu życia, do którego był nawykłym. Młodzież przychodziła do niego grać, siadywano nocami, szanse gry burzyły go i poruszały do zbytku. Nie mógł się wstrzymać od kieliszka, gdy go widział przed sobą, a nie mógł gości nie poczęstować. Najpilniejsza straż nie pomagała z człowiekiem gwałtownym i samowolnym.

Naostatek to co tu i owdzie słyszał o ojcu, o macosze, o niewoli, w jaką popadł wojewoda, o upokorzeniu jego i zdziecinnieniu, o tém co się pod jego dachem działo i pod bokiem, czasem go niemal do wściekłości przyprowadzało.

Unikano z nim rozmowy o tém, lecz że cała Warszawa zajęta była historyą młodéj wojewodzinéj, obijało się coś zawsze o jego uszy.

Miłość téż szalona, namiętna dla pięknéj Pepi, nie dawała mu jeszcze spoczynku: dziewczę wywierało na nim wrażenie, jakiego w życiu nie doznał. We wszystkich, mnogich swych miłostkach i stosunkach dawał się wieść zmysłom pan wojewodzic, tu zmysły wprawdzie poczęły, ale serce biło i cała dusza drgała wspomnieniem Pepi.

Nie wierzący w poezyą i ideały, zepsuty Wicek wierzył w to dziewczę jedno na świecie i miał dlań cześć jakąś.

Panowała nad nim, który był nawykł drugim panować. Tęsknił za nią. Dwa momenty szczególniéj tkwiły w jego pamięci: chwila, gdy po dniach kilku niebytności wrócił do dworku Strańskiéj, przejęty gniewem wściekłym dziewczęcia, i ta, gdy ją ujrzał w Warszawie u łoża swojego, rzucającą mu się na pierś skrwawioną.

Nawykły wszystko w żart obracać, na te dwie życia godziny poglądał z powagą i smutkiem. Wchodząc sam w siebie, czuł może, iż takiego przywiązania nie był wart i że mu odpowiedziéć sercem nie potrafi. Wspomnienie Pepi miłe dlań było i straszne... Jakie na takich początkach miało się rozwinąć życie? Nie groziłoż ono kajdanami i niewolą?

Wojewodzic, mimo téj obawy, pragnął powrócić do niéj. Listy, które pisała, to go niepokoiły, to uspakajały, a utrzymywały w myślach o Pepi.

Stosunek ten cały płocho rozpoczęty, mający być dodniowym, zaczynał zasłaniać całą przyszłość. Zatém szło wyrzeczenie się wszystkiego, do czego nałogiem był przyrósł, począwszy od płochych towarzyszów, gry i kieliszka, do miłostek poczętych i kończących się śmiechem, a gorycz i wstręt zostawujących po sobie.

W godzinach, gdy samnasam został, wojewodzic dobywał listy Pepi i czytał. Rad był je niemal w śmiech obrócić, a nie mógł; tryskało z nich uczucie namiętne, wyrażające się tak gorąco, że w niém i on gorzał jak w Nessusa szacie. Często nie doczytawszy, zniecierpliwiony sam na siebie, listy rzucał do szuflady, wstydząc się poruszenia, którego doznał.

Żadna zmiana w człowieku, który w ogóle mało i z trudnością się zmienia, albo raczéj modyfikuje tylko, żadna zmiana łatwo nie przychodzi. W świecie fizycznym zwierzęta, gdy linieją, ptastwo gdy się pierzy, słabnie; człowiek, gdy zrzuca z siebie nawyknienia stare, pada też pod wysiłkiem, jakiego ta metamorfoza wymaga.

Wojewodzic bolał, chociaż zmiana w nim zapowiadała się dopiéro nie będąc dokonaną, zaledwie nazwać się mogąc rozpoczętą.

Niepokój nim owładał.

Wśród nocy zrywał się, myślał, badał, nie poznając sam siebie. Chciał powracać do niéj i lękał się.

Drugą troską, piekącą, było położenie ojca, który go odepchnął. Niémiał doń żalu, bo znał, iż to uczynił mimowoli, podbechtany, zmu-

szony, cierpiąc na tém. Nie szło mu o odzyskanie należnego stanowiska w świecie, bo o to dbał bardzo mało. Kochał ojca i żałował go.

Ten upadek starca, którym dwie nielitościwe niewiasty pomiatały, do wściekłości go przyprowadzał. Pół słowami mówiono o tém przy nim ostrożnie, nie śmiał rozpytywać, aby nie oszaleć.

Jednego wieczora o mroku, gdy sam jeden pozostawszy, na łóżku leżał i dumał, skrzypnęły drzwi i jakaś postać nieznana nieśmiało się wsunęła. Ponieważ pod „Orłem" włóczyło się mnóstwo faktorów natrętnych i wszelakiéj gawiedzi, wojewodzic pokorną jakąś figurkę postrzegłszy we mroku, począł od tego, że jéj precz iść kazał.

Rozkaz ten się nie spełnił i ów gość, zamiast posłuchać, krokiem niepewnym począł się do łóżka przybliżać. W pokoju ciemnawo było i wojewodzic dopiéro, podniósłszy się, poznał starego Filipa, ze złożonémi jak do modlitwy rękami podchodzącego ku niemu.

Stary sługa ze wzruszenia mówić nie mógł: drżał, płakał. Rzucił się do nóg paniczowi, który go chciał w objęcia pochwycić.

— Filip!—zawołał—możeż to być!

— Cicho! na rany Pańskie! a nuż mnie tu kto pozna i zobaczy... Paniczku, cicho! Ledwie się wyrwałem na kwadransik, a jeżeli śpiegi za mną poszły, to mnie dziś jeszcze precz wyrzucą.

To mówiąc, Filip z trwogą zawrócił się i drzwi zamknął na rygiel.

Wojewodzic stał patrząc nań poruszony.

— Paneczku! a jakże z tobą? na Boga!.. ranny! posiekany! Te monstra kobiéty już się cieszyły, że z tego nie wyjdziesz...

— Ano! widzisz! wylizałem się potrosze—odparł udając wesołość wojewodzic. Licho mnie nie weźmie. Pokrzywy, choć je tępią, nie niszczeją.

Stary westchnął.

— Co się z ojcem dzieje? mów o ojcu! mów!

— Ano! paneczku, najprzód!—odezwał się szukając zanadru Filip—najprzód jedno: wojewoda u mnie pożyczył, dał mi skrypt na to, jak Boga kocham! oto te dwieście czerwonych złotych i kazał, abym ja je paniczowi dał, ale od siebie!

— Daj ty mi pokój!

— A! to nic nie pomoże, musisz wziąć!—odezwał się Filip i rzucił na stół dwa rulony.

— Mówże, co się z ojcem dzieje!—naglił wojewodzic.

Filip się zawahał.

— A coto pomoże boleć i lamentować, już nas nic z téj babilońskiéj niewoli nie wyzwoli.

— Tak! z babiéj, z babiéj—powtórzył wojewodzic—lecz, któż wié? kto wié? dziwniejsze się rzeczy dzieją. Mów mi całą prawdę!

— Co ja ciebie mam gryźć, paniczyku mój złoty!—całując go w rękę rzekł Filip.

— Gryź! mówię ci, gryź! Może na to poradzimy!

— Zagryziesz się—odparł sługa.

— Nie żałuj mnie! mów! chcę i potrzebuję wiedziéć. Biedzę się z myślami, może się co da zrobić!

Filipowi oczy się rozśmiały.

— Słuchaj paneczku—zawołał.—Gdybym tego na własne oczy nie widział, na uszy moje nie słyszał, a w sercu nie odbolał, tobym nazwał szelmą, kłamcą tego, coby mi to opowiadał.

Niewola! rzekłem i jest niewola! a jak się z niewolnikiem obchodzą? Gdyby nie litość sług, pierwszych wygódby niémiał. Na pokojach balują i wyprawiają hece, jéjmoście się fertyczą z gachami po nocach, a u nas świécy kawałka często braknie i niéma komu w piecu zapalić.

A potrzeba pokazać gościom, że wojewoda szczęśliwy, że jak pączek opływa w pieszczoty, to go ubiorą, to się jéjmość rozpada, w czoło całuje, ręce podaje, po głowie głaszcze, opowiada niestworzone rzeczy, jak chorego po nocach dogląda. Wszystko kłamstwo wierutne! Na moje uszy słyszałem, jak go płaczącego i jęczącego zfukała: „milcz, stary grzybie!”

Zabrali mu klucze, pieniądze, wszystko; grosza do dyspozycyi niéma: teraz jeno konszachty i narady, aby resztę majątków na jejmości imię przepisać. A jak się przymizdrzy do niego, co zechce to zrobi. Stary za chwilkę, co jéj rękę potrzyma, niebaby się chyba wyrzekł, tak, z pozwoleniem, oczarowała go. Co chcą robią! co chcą!

Sam słyszałem, jak radziły, że byle zapisy porobił, doktora tak często nie potrzeba!

Wojewodzic pięście zacisnął.

— Mów! mów!—powtarzał—to zbrodnia! to się musi odmienić! to doszło do kresu...

Filip płakał i chustką łzy ocierając mówił daléj:

— Cóż już nad to powiedzićć więcéj. Włosy na głowie powstają, pomyślawszy o tém. Nikogo do niego nie dupuszczą bez pozwolenia, żadnego mu listu oddać niewolno.

Podsłuchują podedrzwiami, rewidują pod poduszkami.

— A on to znosi?—zapytał wojewodzic.

Filip ręce złożył.

— A! to biédne, poczciwe panisko! Pobożny jest, więc mówi: „za grzechy moje pokarał mnie Bóg.” Ino bywa różnie: czasem go zniecierpliwią do tyla, że się oburzy; wybuchnąć chce, to go albo zakrzyczą lub zagłaszczą, aby był cicho. Staremu sił zabraknie i po wszystkiem. Nie śmie pisnąć.

— Nigdy nie wspomniał o mnie?—zapytał wojewodzic.

— A! niéma dnia, żeby, choć imienia wymówić nie śmie, o coś mnie nie zagadnął, co ja wiem, że panicza tyczy.

Ale baby przeklęte mu w uszy tkają, że taki, owaki; że to zbroił znowu, że na niego cały świat pluje: że nie wart, aby imię nosił poczciwe!...

Jak niéma prawdy, skłamią, co im to kosztuje? Stary się wypłacze, a choćby nie chciał wierzyć, coś zostanie w nim...

— A! na mnie téż nietrudno co powiedzićć!—przerwał Wicek z goryczą—ja się za anioła nie sprzedaję. Dyabłem mnie ta kobiéta zrobiła, ta! ta! która z moich rąk wprost poszła z ojcem do ołtarza?!

Filip sobie oczy zakrył.

— Ztąd ta nienawiść i prześladowanie—dodał wojewodzic—wié ona że w méj mocy jest, więc zgubić mnie chce.

Przeszedł się po izbie mrucząc.

— Paneczku, mityguj się: dopust Boży tę siłę nieczystą w dom nasz wprowadził, łaska Boża wyzwolić nas może. No! i wyzwoli!—dodał—bo wojewoda niedługo wieczny, a one go dobiją.

— Piękne tam téż życie być musi—dodał wojewodzic—bo że go sobie te jejmoście nie żałują, to pewna! ho! ho!

— Sodoma i Gomora!—zawołał Filip stłumionym głosem.—Starościna udaje młodą, a wojewodzina....

Ręką zamachnął.—Co się tam gachów roi i jakich!

Nie dopowiedział Filip. W izbie robiło się ciemno, czas też upływał, powracać musiał. Przyszedł w rękę pocałować panicza i chciał odejść.

— Filipie mój!—zawołał wojewodzic poruszony odprowadzając go do drzwi—śmiało ojcu oczy otwieraj, niech pozna i uczuje z kim ma do czynienia, a, słuchaj! powiedz mu, niech skinie, niech pozwoli, ja go uwolnię! ja!

Uderzył się w piersi.

— Niechaj się mnie nie boi—dodał wojewodzic—pójdę potém precz, jeśli mnie nie zechce, ale go oswobodzić potrzeba! Srom dla nas!...

Nie umiał Filip odpowiedziéć na to, zaszlochał, ucałował rękę, ścisnął kolana i wyszedł.

Szczęściem dla wojewodzica, tego wieczora nikt nie nadszedł do niego, mógł więc samnasam wydychać smutek, ukoić rozpacz i oburzenie; myśli nawet o Pepi ustąpiły politowaniu nad ojcem.

Pragnął zdrowia co rychléj, bo w gorącéj wyobraźni swéj marzył o wyzwoleniu wojewody.

Część dnia nazajutrz w tych myślach upłynęła. W godzinie, gdy zwykle obiadował, już mu z dołu przyniesiono nakrycie i siąść miał do samotnego stołu, gdy lokaj przez drzwi napół otwarte, podał mu kartkę drukowaną.

— Pani się pyta, czy może oddać wizytę?

— Jaka pani u licha?—spytał nieubrany i skłopotany wojewodzic.

Spojrzał na bilet, na którym stało: „Stolnikowa...” ołówkiem dopisano bez ortografii: „dawna znajoma chce się przypomniéć.”

— Ale ja jestem nieubrany.

— Pani mówi, że od chorego nie wymaga tualety.

Wojewodzic ledwie miał czas narzucić na siebie turecki szlafrok, którym go Kazio obdarzył, gdy już w korytarzu zaszeleściała suknia, zastukały koreczki i tuż wbiegła maleńka owa laleczka śliczna, którąśmy widzieli u wojewodzinéj. Wbiegła, stanęła w progu, wyciągnęła rączki obie.

— Poznajesz mnie? niewdzięczniku!—poczęła.—A widzisz, tyś o mnie zapomniał, ja dotąd cię w głębi serca mojego noszę!

— Stolnikowo dobrodziejko!—zaśmiał się rozweselony chory—w głębi serca! zmiłuj się! tylu już tam musi na mnie spoczywać, że mnie uduszą!

— A! jaki złyś się zrobił!—odparła stolnikowa szukając krzesła, które jéj podał gospodarz.

Mnie mówili „strasznie ranny,” a chwała Bogu, już nawet trochę jest rumieńca! Nic ci nie będzie.

— Rumieniec to pani z sobą przyniosłaś—rzekł wojewodzic—wykwitł z radości, żeś pani o mnie nie zapomniała, choć pani...

— Bo waćpan jesteś bałamut!—odparła stolnikowa poprawiając tualetę—jak chcesz żeby o tobie pamiętano, kiedy ty o wszystkich zapominasz!..

O! ja wiem wszystko! wszystko! wszyściuteńko! wiem. Śliczne rzeczy!

I niedokończywszy obejrzała się.

— Ale jakże ty możesz mieszkać w takiéj dziurze! pfe! W jakiéjś oberży, na piętrze!

— Stolnikowo dobra—rzekł gospodarz—wedle stawu grobla! Pani to chyba niewiesz nic! Nie jestem wojewodzicem, niémam złamanego szeląga i naprawdę powinienbym pójść do szpitala: Łazarza ze mnie zrobili.

— Kto? chyba wacpan sam!—zawołała Malinka.

— Ja tylko dopomogłem—rozśmiał się wojewodzic.—Głównym sprawcą mojego nieszczęścia, domyślisz się kto jest!

— Nie potrzebuję się domyślać!

Ale, bo pfe! co się to porobiło!—szczebiotała piękna jéjmość—pfe! Myślisz, że ja nie wiem o tém oknie... Pfe! i potém, żeby się stary z nią żenił! Jakżeś dopuścił?

— Miałem odwagę heroiczną powiedziéć mu wszystko, dostałem za to w twarz od ojca; zrobiono mnie potwarcą, kłamcą, chciwym majętności. Starościna umiała chodzić około interesu córki i swojego, a takiemu łotrowi jak ja, nikt nie wierzył.

Uśmiechnął się wojewodzic.

— A! to są okropności! okropności!—zaszeptała piękna Malinka.—Chyba lepiéj o tém zapomniéć! Mówmy o czém inném...

— Mów pani o sobie?

— To także smutne dzieje—odezwała się wdzięcząc i oczki swe zapuszczając w wejrzenie wojewodzica, który stał wpatrując się w nią pilnie. Ja także jestem okropnie, okropnie nieszczęśliwa: trzech mężów!..

— Pogrzebałaś pani!—wybuchnął wojewodzic—w tak krótkim czasie!

Stolnikowa rozśmiała się serdecznie.

— Ale gdzież zaś! Żyją, zdrowi wszyscy trzej! Dwóch jest w Warszawie i z tymi jaknajlepiéj jestem; *apres tout*, wcale dobre ludziska, tylko znów na mężów, to co innego! Trzeci, pewnie w tych dniach dla rozwodu przyjedzie.

— Trzy razy rozwiedziona?—zapytał uśmiechając się wojewodzic—ale to sztuka w tak krótkim czasie.

— I sztuka było przeżyć te wszystkie przejścia!—westchnęła biédna rozwódka.—To téż straciłam cerę, świeżość...

Wojewodzic pochwycił ją za rączkę.

— Chcesz pani chyba, abym się unosił nad nią!

— A dlaczegóż nie! unoś się!—odezwała się stolnikowa. Niémam nic przeciwko temu! Ja bo się kiedyś w waćpanu kochałam szalenie, gdyś był Dosią zajęty. A zazdrosnam była!

Potrząsła główką.

— Ale my już obojeśmy starzy! przeżyliśmy dużo.

— Ja, nawet zawiele!—rzekł wojewodzic.

— A ja? wiesz? dużo, dużo i z tego wszystkiego niéma nic. Ani chwilki szczęścia. Świat mi obrzydł.

— O klasztorze myślisz, stolnikowo kochana—śmiał się gospodarz—to zawcześnie.

— A! ktoby tam o nim myślał. O! nie—prawiła stolnikowa.—Przyjechałam się rozerwać. Dałam sobie słowo, że teraz tak rychło już za mąż nie pójdę! bo to nudna rzecz.

Obejrzała się po pokoiku.

— Pfe! jakbo mieszkasz!—poczęła po chwilce.— Tak mi waćpana żal! Ale, *a propos:* byłam u Dosi.

Wojewodzic, który stał pochylony przy niéj, odprostował się.

— Winszuję—rzekł zimno.

— Jużciż za złe mi téj ciekawości brać nie można. Byłam ciekawa po prostu! Co się z téj twojéj Dosi zrobiło!

— Mojéj!—krzyknął wojewodzic ramionami wzruszając.

— A jużciż! przedemną niéma sekretu! Szpiegowałam was, bom była zazdrosna.

— Pozwól pani stolnikowo—przerwał opryskliwie wojewodzic—bym dla jéj ciekawości dodał, iż ta moja Dosia, dziś macocha, chciała mnie otruć czekoladą, a parę razy zbójów nasyłała na moje życie!

Krzyk się dał słyszéć i stolnikowa oczy sobie zakryła. Gdy się

odważyła spojrzéć na wojewodzica, ujrzała go z uśmiechem ironicznym stojącego przed sobą spokojnie.

— Niestety! takie to bywają te piękne, zachwycające, romansowe Dosie, gdy im idzie o pochwycenie fortuny... Czekolada dostała się pieskowi, ale nie ręczę, żeby, gdy pan wojewoda stanie się zawadą, gdy od niego wszystko wyłudzą, jemu jéj nie podano!

Wstrzęsła się piękna pani.

— A! nie mów! dreszcze po mnie przechodzą!—odezwała się cicho.

— Po mnie płomienie chodzą—dodał wojewodzic.

Zamilczeli.

— Stolnikowa myślisz tam bywać?—zapytał gospodarz.

— Ja? myślałam!—szepnęła kobiéta.

— Bywaj pani i owszem!—rzekł wojewodzic—bywaj! możesz mi dopomódz do dobrego uczynku...

— Z duszy-serca, tylko czekolady tam pić nie będę!—zaśpiewała stolnikowa.—A! i wiesz co? ja do intryg żadnych niémam talentu.

— Bo tu nie potrzeba intrygi żadnéj—rzekł wojewodzic.—Posądzać was nie będą o nic, możesz czasem zbliżyć się do ojca mojego, możesz mu szepnąć słówko, być pośredniczką między mną a nim.

Stolnikowa zdawała się namyślać trochę, oczy skierowała bardzo czułe na wojewodzica, wyciągnęła rączkę ku niemu i szepnęła:

— Będziesz mną kierował!

— I całe życie wdzięcznym jéj będę!—dodał wojewodzic.

Chociaż stolnikowa zarzekała się intrygi, choć się trochę obawiała czekolady, jednak nadzieja wspólnéj jakiéjś roboty, która ją mogła zbliżać do tego niegdyś ukochanego w młodości, wielce się jéj uśmiechała!

Nie byłaby się może zgodziła miéć go czwartym mężem, ale jako przyjemne *intermezzo*, przyjacielski, platoniczny stosunek z człowiekiem tak... interesującym, dosyć jéj był przyjemnym. A przytém, maleńka rola w dramacie, w téj tragedyi domowéj, dla niéj, niémającéj teraz żadnéj passyi i żadnego zajęcia oprócz prozaicznego rozwodu, nie była do odrzucenia.

Zaczęła więc szeptać na ucho coś wojewodzicowi z żywością wielką. Chciała wiedziéć godziny, w których mogła dla narady się z nim, widywać bez świadków i t. p.

— Ale! kochana stolnikowo!—rzekł w końcu wojewodzic trzymając jéj rączkę niewyrywającą mu się wcale—cóż ludzie powiedzą?

— Niech sobie gadają!—odparła piękna pani.—Cóż mnie to szkodzi, jestem tak jak rozwiedziona. Jeżeli po mieście szeptać będą...

— To dójdzie do wojewodzinéj—przerwał Wicek—stracisz pani u niéj zaufanie i wstęp do jéj domu.

— Więc—rzekła smutnie—jakoś to inaczéj obmyślić trzeba.

Znowu szeptano długo, naradzano się jeszcze, gdy utrapiony garson z restauracyi wpadł z barszczem na talerzu.

Stolnikowa zerwała się przestraszona. Zdaje się, że pakty jakieś zawarte zostały, bo wojewodzic odprowadził ją do sieni i z wielką wdzięcznością, po kilkakroć rączki ucałował.

Rozjaśniło mu się w oczach i poweselał znacznie.

Po obiedzie, jadący na sesyą do zamku, wpadł książę marszałek. Na dole chłopak mu, uśmiechając się, wydał sekret, że jakaś piękna pani karetą przyjeżdżała z wizytą do chorego.

— Więc już kobiéty przyjmujesz!—odezwał się książę w progu.—Któżto był? wojewodzicu?

Nie było na rękę przyznawać się wojewodzicowi, ale z księciem nie potrzebował się taić.

— A! to ta śliczna małpeczka, którą mi już pokazywano!—rzekł książę.—Zmiłujże się, bądź ostrożnym: trzy razy się rozwodziła pono, łapie mężów jak muchy i puszcza ich wyssawszy.

— Ale ze mnie niéma co ssać!—rozśmiał się ranny.

— Życie! i to coś warto! –odparł marszałek.

— Moje niewiele.

Rozmowa się zmieniła, książę chcąc wypocząć po sejmowych rozprawach, rad powtarzał plotki. Prawił więc o ostatniéj konkiecie ks. ex-podkomorzego, o ślicznéj Juźce, o Blanchardzie, o śpiewaczce włoskiéj, o awanturze w teatrze i o wieczorze w Foksalu.

Po chwilce już go niebyło, karetka toczyła się ku zamkowi.

Wieczorem list przyniesiono od Pepi. Wojewodzic wziął go do rąk z jakąś obawą i długo nie mógł otworzyć. Czego się lękał, samby był powiedzieć nie umiał. Przywiązania, które go czyniło niewolnikiem, uczucia, co go miało oderwać od życia, do jakiego nawykł. Listy Włoszki nie były sentymentalne wcale, a jednak gorąco go przejmowały. Opisywała w nich życie swoje, śmiejące się nadziejami. Wszystko w téj czynnéj główce było z góry ułożone. Zajęcia dnia ca-

łego, zabawy we dwojgu, przechadzki, miejsce, jakie miał w tém szczęściu wyznaczone, doktor poczciwy.

Liczyła dnie, wyrachowywała kiedy prawdopodobnie ślub miał nastąpić; spodziewała się, tęskniła, ale często wymykało się słówko dziecięce, wesołe...

Wojewodzicowi gorzały policzki czytając, biło i razem ściskało się serce. Widział przed sobą tę śliczną Pepi, zakładającą mu na szyję, na ręce, ukwiecone kajdany; widział siebie w téj smętnéj kamienicy lubelskiéj, zamurowanego jak pszczoła w miodzie, zestarzałego, obezwładniałego, zmienionego. To mieszczańskie spokojne szczęście napełniało go strachem. Co ono z niego zrobić miało?

Czasem nawet jak błyskawica przelatywała myśl wyrzeczenia się Pepi, lecz wnet stawała ona przed nim z wdziękiem dziewiczym, z tą miłością gwałtowną, aż do szału, z poświęceniem bezprzykładném, i mówiło mu serce, że takiéj drugiéj nie znajdzie na świecie.

— Ale ja nie jestem do szczęścia stworzonym!—mówił sobie.— Jam stworzenie drapieżne, którego przeznaczenie krew i łzy przelewać, a śmiechem je witać.

Jastrzębie się nie żenią z gołębicami.

Wiedział zarazem, że ta gołębica w rozpaczy mogła się stać orlicą; pamiętał jéj łajanie, przypominał jéj ucieczkę i łzy. Był jak człowiek, co się ma puścić na morze i w chwili gdy się chce rzucić na fale, odchodzi go męztwo.

Walka ta z samym sobą wyczerpywała go, byłby może nie zniósł jéj dłużéj, gdyby myśl wyswobodzenia ojca nie zajęła go równie silnie, goręcéj może i na czas jakiś nie wygnała z głowy natrętnych marzeń o przyszłości...

Do miłości dla ojca, łączyła się, trzeba wyznać, nienawiść i chęć pomszczenia się na niegodziwéj kobiécie. Kilka dni rozmyślań doprowadziły go do nakreślenia jakiegoś planu. Potrzeba było staremu oczy otworzyć, dać mu poznać tę kobiétę, dla któréj miał tąką słabość, graniczącą już z upodleniem.

Lecz jak dostąpić do ojca? W obozie nieprzyjacielskim był tylko jeden Filip, uzbrojony wielką miłością i poświęceniem. Na panią stolnikową, pomimo jéj dobréj woli i przyrzeczeń niewiele można było rachować. Wojewodzic czuł, choć jéj oddawna nie widział, że trzpiotowatości lat młodzieńczych nie straciła, rozwinęła ją jeszcze na swobodzie.

Niechęć ku Dosi mogła ją uczynić gorliwą, ale niezręczną. Lada połechtanie wywoływało u niéj wybuch, a raz otwartych ust już żadna siła zamknąć nie potrafiła. Był to więc pomocnik, z którym jak z obosieczną bronią, bardzo ostrożnie trzeba się było obchodzić.

Gdy wojewodzic tak rozmyślał nad wyzwoleniem ojca, szczęśliwy traf niespodzianie miał mu przyjść w pomoc.

Wojewoda, pomimo zgryzot i utrapień, przy troskliwéj kuracyi, począł się miéć znacznie lepiéj. Obrzęknienie nóg zchodziło, siły przybywały i Filip z każdym dniem postrzegał w panu oznaki blizkiego uzdrowienia. Z pomocą jego mógł się już przechadzać po pokoju a odzyskawszy władze ruchu, swobodniejszą nieco myśl, mimowolnie zaczynał wracać do obyczajów swych dawnych, z tych czasów, gdy opieki nie potrzebował.

Zwolna wprawdzie, ale stary się potrosze emancypował. Powrót ten do zdrowia, któremu obie kobiéty przez wielką troskliwość i obawę zaprzeczały, starając się utrzymać wojewodę nieruchomego w krześle, był z jednéj strony pożądanym dla nich, z drugiéj niewygodnym. Dawał czas do wyrobienia zapisów, ale zrywał pęta, które na starca czasu choroby włożono.

Zaraz w pierwszych dniach, gdy mu się polepszyło i sam zaczął dysponować ludźmi, starościna usiłowała temu zaprzeczyć i protestować; wojewoda zbył ją grzecznie, lecz swoje zrobił. Padł popłoch na obie jéjmoście, wpadła wojewodzina, chcąc w imię szacownego zdrowia, wszelkich zajęć interesami i dyspozycyi wzbronić: wojewoda się nie dał.

— Ależ, droga Dosieczko moja, nie róbcie bo mnie lalką, aby się ludzie nie śmieli. Czuję się lepiéj i wiem co mogę. Daj mi łapcię do pocałowania i nie turbuj się. Doktor nietylko że nie broni, ale nakazuje mi dystrakcyą.

— Jegomość zamiast dystrakcyi będziesz miał zmartwienie i nowéj choroby napytasz!—odparła jéjmość.—Cóż tak pilnego? Przecież i ja i mama wszystkiemu rady damy, a na wiarę zasługujemy, i mama nawykła do interesów. Niech jegomość wypocznie, ozdrowieje...

— Ano, proszę cię, złota moja Dosieczko, królowo moja droga, nie sprzeciwiaj mi się!—rzekł wojewoda. Nikt lepiéj około własnych interesów nie chodzi, jak sam pan. Nie ujmuję staroście wcale, a przecież i bez jéj frasunku podołam brzemieniowi. Wy się bawcie, niech mama dobrodziéjka dobrego czasu zażywa.

— Jegomość jesteś uparty!—zawołała Dosia gniewnie—a doktor niewiele okazał rozumu!..

Przecież ja z troskliwości o jego zdrowie to czynię...

— Nózie twoje radbym ucałować, królówko moja! aniołku mój!— wołał wojewoda wyciągając ręce ku niéj; na co odpowiedziano wycofaniem się—daj mi się rządzić jako chcę. Będzie z tém wszystkim lepiej!..

Pierwsze te symptomata emancypacyi, wprawdzie musiały uledz naciskowi obu kumoszek, które starego zakrzyczały, zahukały i kazały odpoczywać, ale zdrowie coraz wracało i wojewoda, choć najniższy żony sługa, już się swobodniéj zaczynał obracać.

Dawał sam rozkazy w domu, posyłał Filipa; częstokroć dyspozycya pani wbrew woli pana była przeciwną. Następowały konflikty, które się w pokoju chorego wrzawą i kłótnią kończyły, jeżeli kłótnią nazwać się mogło łajanie pani, a chwytanie jej rączek i pieszczoty starego, które ona odpychała, nie kryjąc się ze wstrętem dla niego.

Wieczorami, gdy największe życie wrzało w pałacu, gdy pełno było gości, wojewodę, pod pozorem potrzeby wypoczynku, zamykano na klucz w jego samotnym pokoju.

Najściślejszy dozór zaczynał jednak okazywać się niedostatecznym, bo z każdym dniem chory czuł się silniejszym i większych prerogatyw domagał.

Kobiéty, które rachowały na to że się z krzesła nie ruszy, były przerażone tém, iż już mówił o wyjeździe z domu, bytności na zamku i odwiedzaniu znajomych.

Żona naprzemiany grozą i łagodnością starała się go przykuć do domu: zaczęto naradzać się i przemyślać. Dopóki wojewoda był w kurateli wszystko szło gładko, jak skoro się począł wyzwalać, tysiąc niebezpieczeństw zagrażało. Ludzie mogli go buntować, mogli mu gdzie podprowadzić syna, namówić go do zgody, a wówczas wojewodzina czuła się zgubioną.

Niepokój opanował kobiéty i Dosia musiała napisać do Daliborskiego, by w pomoc i na radę przybywał. Szło o przyśpieszenie zapisów, które, gdyby raz miały moc prawną, z resztą niewiele je co obchodziło!

Polepszenie bardzo znaczne wywołało zmianę nagłą w postępowaniu jéjmości, która po gniewach i fukaniach, stała się bardzo czułą.

Te pieszczoty, którémi starca otaczała przez dni kilka i obsypywała do zbytku, miały ten skutek jednakże, iż wojewoda zapadł znowu.

Symptomaty groźne wracały, doktor przywołany przez Filipa nadbiegł w porę i surowe jego przepisy zapobiegły zapowiadającéj się recydywie. Trzy dni na dyecie przebywszy znowu w krześle i zamkniętym pokoju, wojewoda doznał polepszenia, ale posmutniał mocno.

I znowu potrosze rządy chwyciły kobiéty, aby mu oszczędzić troski; stary jednak dopytywał niespokojnie i zdawał się zupełnéj abdykacyi nie chcieć dopuścić.

Słowem, wojna się przeciągała.

V.

Kilka miesięcy upłynęło. Zima miała się ku końcowi. Warszawa, choć zawsze ludna, mieniała gości, z których jedni odjeżdżali na wieś, drudzy na ich miejsce przybywali, lecz nawet po odroczeniu sejmu nie zmniejszył się napływ do stolicy.

Początek narad, pierwszy akt tego dramatu dziejowego, rozkołysał bardziéj jeszcze umysły, rzucił na stół tyle projektów, tyle reform, tyle zuchwałych planów zupełnego przeistoczenia wiekowéj Rzplitéj, iż cały kraj został niemi wstrząśnięty. Chodziło już nie o przemianę aliansów i traktatów, ale o całkowite przerobienie tego organizmu zużytego wiekami, a połatanego w ostatnich czasach dosyć niezręcznie. Nie tajono się z tém, że chciano monarchii dziedzicznéj, zniesienia *liberum veto*, reorganizacyi sejmów, przyznania praw włościanom, nadania swobód miastom; słowem, rzeczy niebywałych, monstrualnych, na których odgłos, partya republikańska o zgubę swobód wiekami zdobytych, krzyczała. Zcicha mówiono już nawet o wyprzedaży starostw i odjęciu ich teraźniejszym posiadaczom, ale tak strasznéj groźbie nikt jeszcze nie wierzył.

Szczęsny Potocki z powodu aliansu pruskiego, który mu się zgubnym wydawał, cofał się już nadąsany od udziału w obradach; inni jak Branicki i Rzewuski rzymskiéj republiki i prerogatyw szlacheckich bronili: obozy przeciwne się zarysowywały. Król stał jeszcze, wahając się między nimi, ale widoczném już było, że się pochyli tam, gdzie więcéj znajdzie siły, energii i życia.

Może sobie pochlebiano, że przeciwnicy nawrócić się potrafią, boć Ignacy Potocki, wódz reformatorów, stawał w obozie hetmana, który był przewódzcą opozycyi, a Stanisław Potocki gonił do Tulczyna za

Szczęsnym! Tymczasem upojeni otrzymanémi zwycięztwy, hugoniści posuwali się śmiało daléj, tak daleko, że nie wszyscy zdążali za niemi.

Jak ogromną rolę grały wśród tych intryg politycznych kobiéty, dziś się to do wiary nie wydaje podobném. W białych sukniach z szarfami ponsowémi, zawczasu zapełniały galeryą sejmowéj sali a mówcy wejrzeniami i przyklaskiwaniem zagrzewani, pod ogniem czarnych i niebieskich źrenic, szli do ataku z bohaterskim zapałem. Lecz i poza obrębem sali obrad, salony pań służyły za ogniska, w których się dla konferowania z obojętnymi przeciwnikami spotykano. Na tém terytoryum neutralném, u ks. Dessau, u hetmanowéj Ogińskiéj, u Czartoryskich, u Mniszchów, dawni znajomi i krewni, choć innych przekonań, schodzili się z nieprzyjaciołmi sejmowymi, tu ich nawracano potrosze, a czego nie dokazały argumenta, często uśmiech kobiécy i dowcip mógł dokonać. Bawiono się wyśmienicie.

Starzy zapijali węgrzyna pod „Okrętem" na Starém-Mieście, młodzież grała na złotych i srebrnych salach Ryocour'a, wyprawiano uczty w Foksalu, tłoczono się na reduty w Radziwiłłowskim pałacu, a król pomiędzy Łazienkami a zamkiem, umęczony się przejeżdżał, starając napróżno wszystkie żywioły przeciwne pojednać i złączyć. Próżne to było staranie.

Pomiędzy pięknémi paniami najszaleńszéj, nieustającéj zabawie oddanémi, latającémi bez spoczynku, ukazującémi się wszędzie, uśmiechającémi wszystkim, otoczonémi rojem wielbicieli, stolnikowa była jedną z najwybitniejszych.

Właściwie nikt powiedziéć nie mógł, po któréj stała stronie, komu posługiwała; była ze wszystkiemi dobrze, potrafiła się dostać na zamek i król wielkie jéj oddawał pochwały; jeździła na wieczory do ambasadora, zapoznała się z panią Oborską i wcisnęła na niedzielne przyjęcia do prymasa, ale zarazem bywała u Potockich, u Czartoryskich i w ogóle gdzie tylko drzwi znalazła otwarte.

Polityczni pracownicy posługiwali się nią tak, jak czasu wojny gołębiem posłańcem; do jéj skrzydełek przywiązywali wiadomostkę, a ona niosła ją z sobą, sama o jéj ważności nie wiedząc.

Nie zwierzano się jéj tajemnic, lecz gdy trzeba było w świat puścić wieść lub groźbę, szeptano je stolnikowéj do ucha.

O niéj to opowiadano naówczas, że raz przy wieczerzy, u księżnéj generałowéj znalazła się razem ze wszystkimi trzema odprawionymi ex-mężami swoimi, z którymi była tak dobrze, tak przyjacielsko, a oni

tak jéj nadskakiwali, jak gdyby nazad do dawnych więzów powrócić chcieli. Posługiwała się nimi chętnie i na żadnego nic nie mówiła złego. O czwartym nie zdawała się myśléć, bo jéj bardzo dobrze było na swobodzie. Pocichu mówiono, że się zajmowała mocno nieszczęśliwym wojewodzicem, ale Wicek nie był partyą dla niéj.

Nie zaniedbywała téż wojewodzinéj, która ją z wielką oględnością i dosyć chłodno przyjmowała, co nieprzeszkadzało stolnikowéj natrętnie się tu ze swą przyjaźnią narzucać, wciskać i przesiadywać, zbliżając, gdy było można do pana wojewody.

Podejżliwém okiem spoglądała Dosia, na tę czułość dla jéj starego męża, gniewała się, a awantury o to zrobić nie śmiała. Wojewoda po ostatniéj chorobie dźwignął się był znacznie; musiał wprawdzie wdziać buty aksamitne, ale chodził w nich dosyć żwawo, ruszał się, wyjeżdżał z domu, widywał ludzi i znacznie wyemancypował; śpiegowano go troskliwie na każdym kroku, a salonowe śpiegi ścigały go wszędzie gdzie mogły; bywały starcia w domu na cztery oczy, wojewodzina jednak nie śmiała zrażać go obejściem się zbyt surowém, bo nieszczęsne zapisy nie były jeszcze porobione. Przygotowywano starca do podpisania ich i zeznania przed aktami. Daliborski albo przesiadywał w Warszawie, lub przylatywał na wezwanie, nic dokonać nie mogąc. Usiłował sobie pozyskać zaufanie starego, i pierwszy raz w życiu, cała jego zręczność i takt okazały się bezskutecznemi.

Wojewoda miał trochę uporu w charakterze, właściwego naturom słabym, które go biorą za energią. Dawniéj powziąwszy wstręt do tego parweniusza, kręcącego się po salonach, wśrubowującego wszędzie, nie dawał się ująć ani pochlebstwy, ani świetną jego wymową.

Nazywał go pocichu—frantem. Osobliwym téż trafem właśnie, admiracya wojewodzinéj dla mecenasa, zdawała się od niego odstręczać jegomości. Gdy pani go wychwalała, wojewoda milczał, i po długich nawracaniach, konkludował:

— Złota rybko, jéjmościuniu, jestto frant! tak mi Panie Boże dopomóż!

Wojewodzina tém niespokojniejszą była o siebie i zapisy, że wojewodzic przychodził zupełnie do zdrowia; tu i owdze się już z ręką na chustce pokazywał, mogli go ludzie z ojcem sprowadzić. Miał, jak mówiono silne poparcie u osób wysoko stojących, książę Kazio zwał się przyjacielem jego, marszałek Małachowski go zapraszał do siebie, bywał u Potockiego w arsenale...

Zmieniono taktykę i gdy w początkach chciano owo małżeństwo z córką doktora rozerwać, teraz Daliborski był za tém, aby je przyśpieszyć, i w ten sposób wojewodzica z Warszawy wyciągnąć. Całe prowadzenie sprawy pani wojewodzinéj, przy pomocy matki i Daliborskiego, mimo pozornéj ich przebiegłości, nie odznaczało się zręcznością ani logiką.

W niepokoju o swą przyszłość piękna Dosia zmienia coraz i tryb postępowania i plany i narzędzia. Z wojewodą to była czułą do zbytku, to nieznośną, opryskliwą i nieszczędziła mu najprzykrzejszych wyrzutów.

Ogarniały ją trwogi, podejrzywała niewinnych ludzi, a prześlepiała tych co jéj szkodzili. Widmo wojewodzica widziała wszędzie za sobą.

W istocie Wicek pozdrowiawszy znacznie, choć jeszcze dawnych sił i zdrowia nie odzyskał, za namową przyjaciół i stolnikowéj, która go pod bokiem mieć chciała, wyniósł się z pod Orła na Krakowskie-Przedmieście, zbliżył do pałacu ojca, a, złożyło się tak, niby przypadkiem, że w domu drugim tuż, miał stolnikową. Ta go opanowała zupełnie, bawiło ją że go protegowała, bawiło że bałamuciła i, jak mówiła, rozkochiwała...

Wojewodzic nie kochał się wcale, ale bałamucić dawał chętnie. Prawdziwa jego miłość lepsza, poczciwsza dla Pepi, znacznie była ostygła. Pisywał do niéj, obiecywał powrót, zwłóczył, i za przyczynę dawał obowiązki swe względem ojca, którym poprzysiągł zadosyć uczynić. Być bardzo może, iż długo nie widząc Pepi, obawiając się tego małżeństwa, które mogło z niego spokojnego i szczęśliwego prozaicznie uczynić człowieka, wojewodzic szukał już środków do potargania węzłów, co go z Włoszką łączyły.

Listy jéj były zawsze gorące i pełne wiary, jego coraz chłodniejsze i krótsze.

Co się działo z Pepi? opowiedzieć trudno. Była zajętą swym narzeczonym, rozkochaną w nim, robiła wyprawę, stroiła dom, żyła cała w przyszłości. Wuj tymczasem coraz to kogoś wprowadzał do domu, po większéj części młodych ludzi. Miał do tego zawsze jakieś powody, wyszukiwał czémby się usprawiedliwić. Pepi przyjmowała tych gości wesoło, obojętnie, ale z taką dumą odstręczającą, że się żaden bardzo zbliżyć nie ośmielił.

Wszyscy ci miejscy i wiejscy panicze wydawali się jéj zbyt powszedniemi ludźmi, obok tego ideału, jakim był Wicek.

Często śnił się jéj jeszcze leżący bez ducha pod latarnią, to blady i ranny, gdy doń z Lublina przyleciała do Warszawy. Jéj przywiązanie dziewicze, oddaleniem rosło. Wymarzony bohatér zyskiwał na niém, stroiła go kwiatami własnéj wyobraźni. Przytomny byłby ją zraził może, daleki wydawał się jéj tém, czém go sama stworzyła...

Wuj czasem probował napomykać o lekkomyślności wojewodzica, o jego płochym charakterze, o pogłoskach które chodziły o życiu jego w Warszawie. Pepi brała go w obronę gorąco i niedopuszczała nic powiedziéć przeciw swemu narzeczonemu.

Mellini nie chciał się jéj wbrew sprzeciwiać, znając charakter, lecz swoje zrobił. Z młodzieży zwabionéj umyślnemi jego niedyskrecyami, najwięcéj mu się podobał młody lekarz Krakowianin, który odbywszy nauki za granicą, przybył do dalekich krewnych w Lublinie. Mellini poznał go wypadkiem, wciągnął do swojego domu i wszelkiemi możliwemi sposobami starał się go zatrzymać. Był to młodzian cichy, skromny, bojaźliwy, małomówny, uczony i rozumny, ale się nie popisujący ni z nauk, ni z rozumem; przystojny bardzo i do zbytku łagodnego charakteru. To niezawadne, dobre stworzenie, ciche, Pepi przyjmowała równie chłodno jak innych, lecz znośniejszym jéj był ów pan Biernacki niż inni.

Miał to za sobą, najprzód że nie okazywał jéj takiego zajęcia jak drudzy, nie wzdychał, nie nadskakiwał. Doktor jako z kolegą młodszym był z nim bez ceremonii, a tak układał rzeczy, że—Biernacki się musiał zakochać. Postawił téż na swojém: młody lekarz był z uwielbieniem dla Pepi, szalał, ale wiedząc iż była narzeczoną, bo ona sama o tém często umyślnie mówiła, starał się nie dać poznać po sobie, że się zakochał. Grał rolę przesadnie zimną i poważną.

Niema pono na świecie kobiéty, nawet najniedoświadczeńszéj, któréjby instynkt nie dał odgadnąć tego, który kocha. Udawanie się na nic nie zdało. Pepi z pewnością się domyśliła uczuć młodego gościa, ale że tak przyzwoicie je tłumił w sobie, szacowała go za to, i była mu dosyć przyjaźną; wybrała go nawet sobie potrosze za powiernika i mówiła z nim chętnie o narzeczonym i przyszłości. Biernacki, który sam już nie miał najmniejszéj nadziei, znajdował jakąś przyjemność w towarzystwie dziewczęcia, słuchał, patrzał, napawał się jéj wdziękiem i to mu starczyło. Doktor Mellini, jak tylko złapał go, natych-

miast ważne jakieś wymyślał zatrudnienie i wychodził z pokoju, nie powracając rychło.

Pepi czasem mu wymawiała że jéj zostawiał doktora do bawienia.

— Alboż cię on nudzi?

— Nie, ale mnie męczy trochę.

Siedzi milczący, uśmiechający się, jak piesek któremu służyć kazano; mało mówi, a ja muszę ciągle szczebiotać.

— To bardzo przyzwoity człowiek—dodawał doktor.

— Widać, i bardzo stateczny, i rozumny i wszystko co wujaszek chce; ale mi przeszkadza, bo ja wolę być sama.

Gdy wojewodzic przychodzić już zaczął do zdrowia, i piękna Dosia coraz się więcéj trwożyła; Daliborski urządził się tak aby raz wróciwszy z Warszawy, oddać wizytę Melliniemu, i zasiąść z nim na rozmowę, obok pokoju, w którym, niby nie wiedział że się Pepi znajdowała.

— Powracam z Warszawy—odezwał się głośno—o! hałaśliwo tam i wrzawliwo, życie płynie strumieniem złotym. Aż człowiekowi żal że tam mieszkać nie może.

A po przestanku dodał:

— Zdaleka widywałem pana wojewodzica, choć rękę nosi na chustce i pobladł trochę, ale wydał mi się wcale zdrów, i na prawdę nie rozumiem tego że do narzeczonéj nie śpieszy...

Doktor milczał, a mecenas dodał ze śmiechem:

— Zwyczajnie młodość! Chce się użyć świata, póki służą lata. Gdy się ożeni, klamka zapadła, tymczasem się wyhula.

Tu, niby ciszéj, dodał:

— Mówią o amorach licznych, osobliwie ze stolnikową, przy któréj, bodaj czy nie w jednéj kamienicy mieszka, i albo ona u niego lub on u niéj, po całych dniach i wieczorach. A to kobiécina cale niebezpieczna! trzech mężów już przez kij przesadziła, nie licząc intermedyów i przekąsek... cha! cha!

Doktor wskazał na drzwi, mecenas usta zatulił kułakiem, robiąc minę skonfundowaną; ale Pepi słyszała wszystko.

Wzięła to za potwarz wprost, o któréj natychmiast chciała napisać wojewodzicowi, że w nią nie wierzy. Zarumieniła się, pogniewała, ale na plotkarza tylko. Była pewną, że narzeczony jéj zdradzić nie mógł, bo swoję miłość czuła gorąco, i wierzyła iż podobną wzbudzić musiała.

Wzmógł się jéj wstręt do Daliborskiego. Mellini śledząc skutków późniéj, przekonał się że wrażenie było wcale inne niż się spodziewał. Zachwiać sercem jéj nie mogło nic, nawet listy krótkie, żartobliwe, chłodne wojewodzica; mówiła sobie że sprawa ojca była pierwszą, a ona?—czekać mogła. Czekać z nadzieją, jest prawie szczęściem.

W rozmowie z Biernackim tegoż dnia po obiedzie, rozwiodła się szeroko o plotkach, o ludziach co je nosili, i o niegodziwym obyczaju powtarzania lada jakich ulicznych wieści.

Ponieważ dawno bardzo nie widziała Strańskiéj, a młody lekarz jéj nie starczył na powiernika, pobiegła do niéj skarżyć się na niegodziwość ludzką.

Wdowa, choć się nie sprzeciwiała Pepicie, nie podzielała jéj ufności i spokoju.

— E! już to, powiem ci, kochanie moje, że wojewodzicowi do zbytku wierzyć nie można. Wielu to ja takich znałam! mój Boże! Co to póki im przedmiot na oczach, to zakochane jak koty; a niechno w stronę ujdą, do pierwszéj lepszéj małpy się mizdrzą.

— Ale on! on takim nie jest!—zawołała Pepi. On mnie kocha nie miłością co jak słomiany ogień płonie i gaśnie, ale stałą i wiekuistą, jak ja!

— Jak ty! ale ty jesteś kobiétą—przerwała Strańska—my kobiéty kochamy zawsze stale, a ci paskudni mężczyźni...

Pepi się rozśmiała.

— Nie mów! moja droga, nie chcę nic na niego słyszeć. Ja mu wierzę! wierzę! wierzę!

— A jak cię zdradzi?—spytała wdowa.

Pepi długo myślała, brwi się jéj namarszczyły; wyciągnęła rękę drżącą:

— Wiész, wiész co zrobię?—zawołała—zabiję go i... umrę sama!

Strańska rzuciła się ją ściskać, zatulając jéj usta.

— Nie plećże!

— Mówię i przysięgam że to uczynię!—dodała Pepi.—Nie wiem czy potrafię go zabić, ale że umrzéć będę umiała, bądź pewną.

Wdowa się przelękła gwałtowności, z jaką te słowa wymówiła Pepi.

— Dzięki Bogu, niémam jeszcze powodu ani rozpaczać, ani myśléć o śmierci! To wszystko niepoczciwe bajki!

Wdowa miała pewne instrukcye od doktora, który potajemnie jéj polecił działać ostrożnie przeciw wojewodzicowi; lecz spełniała to polecenie bardzo niezręcznie i niezbyt gorliwie, a ile razy odezwała się z czémś dwuznaczném, Pepi jéj wyrzucała że własne dzieło burzyć chciała.

Z energiczném dziewczęciem trudno było co począć. Tegoż wieczora długi list napisała do wojewodzica, opowiedziała mu co przywiózł mecenas i swoję rozmowę ze Strańską. Mówiłam jéj, że gdybyś mnie zdradził, ciebie zabiję i sama umrę, bo takby się stało; ale nie wątpię o tobie.

Wojewodzic otrzymawszy list, podobno cały dzień go nosił w kieszeni, niemając czasu czy ochoty przeczytać; wieczorem dopiéro rzucił nań okiem i pogróżki zabójstwa i śmierci uśmiech wywołały mu na usta.

— Dziecko!—rzekł w duchu.—List rzucił do biurka i nie myślał już o nim, a w kilka dni odpisując nań, ani wspomniał o treści.

Przyjaciele starali się, ale napróżno zbliżyć go do ojca. Wojewoda, choć kochał syna, choć słabość miał do niego, z całą namiętnością starca, bezrozumną, przywiązał się do żony. Pewnym był że wojewodzic zawinił, gotów był potajemnie coś dla niego uczynić, ale ani się z nim widziéć, ani jawnie przebaczyć mu nie chciał.

W Dosi widział bóstwo, na którém skazy nie było; tłumaczył sobie jéj kaprysy, przebaczał fantazye, obejście się z sobą uniewinniał i... szalał.

Ile razy go kto ze starych przyjaciół zagadnąć probował o syna, natychmiast przybierał twarz posępną i albo rozmowę zwracał, lub żegnał się i milczał uparcie. Na nalegania silniejsze odpowiadał wreszcie sucho, jedném tylko:

— Niémam syna! niémam syna!

Dochodziło to uszów wojewodzica.

— W ten sposób nigdy się stary nie da przekonać ani nawrócić ku mnie—powiadał—potrzeba, ażeby wprzód tę kobietę nieszczęsną, tego szatana poznał czém jest. Dopóki nie zobaczy zdrady jawnéj, słowa próżne!

Ona ostrożna, to pewna, ale czasem i traf bywa mądry, a losowi pomagać potrzeba.

I uśmiechał się dwuznacznie. W Filipie starym miał pomocnika, lecz sługa musiał téż postępować nadzwyczaj oględnie, bo kilka

razy, choć ukochany, miał wytartą kapitułę. Z powrotem do zdrowia, wracały czułości dla kochanéj Dosi, które wojewodę śmiesznym czyniły. Jéjmość się ich umiała pozbywać nadzwyczaj zręcznie, sadzała go do kart, dawała mu ludzi do bawienia, którzy go trzymali godzinami na rozmowie; udawała chorobę aby odpoczywać, a gdy się nazywało że spoczywała, i stary chodził na palcach, zalecając ciszę, wojewodzina w karetce po mieście biegała, lub swoich poufałych, serdecznych gości przyjmowała w zamkniętym apartamencie.

Stolnikowa bywała tu niemal codzień, starała się wkraść w łaski starego przymilając mu się, i do pewnego stopnia dosięgła czego pragnęła. Wojewoda się bawił z nią, całował po rączkach, odmładniał przy niéj, ale gdy puściła słówko jakieś mogące się do Dosi stosować, natychmiast ostygał i poważniał. Pomimo to udało się Malince zwrócić jego podejrzenia na kilku mężczyzn, z których się wyśmiewała, że się w Dosi kochali napróżno. Stary był zazdrosny niezmiernie, lecz, jak większa część zazdrośników, podejrzéwał zawsze niewinnych, a ślepym był dla winowajców. Z tego zaślepienia poczęści go wyprowadzać się starała stolnikowa.

— Mój kochany wojewodo—mówiła mu, oczkami go wabiąc—my kobiecięta biédne nie możemy być bez kochania. Jesteśmy do tego stworzone. Mąż to sobie mąż, tego się szanuje, weneruje i ma w zapasie, ale niepodobna wymagać ażebyśmy się wyrzekły fantazyjek i łapania na wędkę.

— A acani dobrodziejka to praktykujesz?—śmiał się wojewoda.

— Ja? naturalnie; Dosia téż i wszystkie wiele nas jest...

— Tylko proszę o wojewodzinie...

— Mój wojewodo—paplała stolnikowa—myśmy się razem wychowywały, ja ją znam lepiéj niż siebie. Ho! ho! nic złego nie mówię, broń Boże! ale filucik! filucik...

— Acani dobrodziejka ją w tém przechodzisz—rzekł wojewoda.

— Nic, a nic! Co do filuteryi ja się z nią mierzyć nie mogę: mistrzyni w tém jest.

Zasępił się wojewoda; po każdéj rozmowie ostygał dla stolnikowéj, gniéwał się na nią, a gdy potém przybyła znowu i przymiliła się do starego, umiała go udobruchać, chwytał ją za rączki, śmiał się, bawił, był jéj rad. W ostatku budziła jego ciekawość, chciał się coś z niéj dowiedziéć, rodziły się podejrzenia. A najgorszym znakiem dla

wojewodzinéj to było, że o swych rozmowach ze stolnikową nie mówił i wypytywany fałszywą z nich zdawał sprawę.

Podejrzenia rosły w nim. Odpędzał je: powracały. Filip, któremu się nie przyznawał, schwytał go kilka razy na tém, że na palcach chodził śpiegować podedrzwi pokojów żony.

— E! cobo to pan wyrabia!—rzekł mu za drugim razem—tylko się jegomość przeziębi i choroby napyta. Poco? naco? proszę jegomości...

— Milczałbyś—odparł zasępiony stary—i nie odpowiadał kiedy nie pytają. Wścibiać nos, zasię: słyszysz!

— Juści słyszę—rzekł Filip—ale ja nosa nie wścibiam, tylko mi o pańskie zdrowie idzie.

Raz jakoś przyszło do awantury, ale ta się tryumfem wojewodzinéj skończyła. Stary przypadł około północy do drzwi jéj pokoju, posłyszał śmiechy i głosy; zaczął bić, stukać: wojewodzina wyszła razem z matką i straszliwe gromy padły na starego, który na kolanach Dosię przepraszać musiał. Złajany, zagrożony, powrócił do pokoju i chory w łóżko się położył.

Daliborskiego, który podówczas był u pani, wypuszczono tylnemi drzwiami, starościnę naprzeciw mieszkającą przywołano i piękna Dosia przybrała się w szatę męczennicy. Nieszczęśliwy wojewoda rozchorował się na dobre, przez dni dwa żona mu się nie pokazywała. Fukano, dąsano się, ale że zawsze jeszcze szło o zapisy, wrota do zgody były otwarte. Filip, który doskonale wiedział co się w domu działo, nieśmiejąc nic panu mówić, śmiał się.

— Niechbo jegomość i nie probuje już—rzekł gdy wojewoda pozdrowiał—na co się to zdało? Gdzie to słychana rzecz, żeby mężczyzna nie dał się oszukać gdy kobieta zechce! Ja tam, uchowaj Boże, na jasną panią nie mówię nic! Ale tylko powiem jegomości jedno, że gdyby tam sześciu gachów było, wszystkichby było gdzie przyprzątnąć, nimby jegomość tam doszedł. Pokoje starościny tuż, szaf jest dosyć, zakamarków i schodki tylne.

Wojewoda tak straszne oczy zrobił, że Filip dodał wnet:

— Proszę jaśnie pana, ja nie wiem najmniejszéj rzeczy, ale se gadam aby się gadało. Trzeba jejmości wierzyć i nie frasować się, bo to się już na nic nie zdało!—Stary nieodpowiedział ani słowa.

W kilka dni złożyło się inaczéj a niedobrze dla wojewodzinéj. Miała być reduta i maski, wojewoda téj zabawy nie lubił, bo się na balach

maskowych trafiały różne historye. Matki traciły córki, a córki nie mogły się czasem, aż pod koniec maskarady matek dopytać. Wojewodzina mówiła że nie lubi maskarady. Dnia tego miała migrenę i poszła spać zawcześnie. Nazajutrz téż wyglądała blado.

Wieczorem przybyła stolnikowa i w rozmowie głośnéj spytała wojewodzinę, co się z nią stało po spotkaniu na maskaradzie... (Na chwilkę odjęła była maseczkę piękna Dosia, aby odetchnąć i na to nadeszła stolnikowa). Zapytana głośno wojewodzina, zrazu zbladła i zmieszała się, potém coś niewyraźnego odpowiedziała. Stary dostrzegł że się zmieszała, bo ją schwytano na kłamstwie. Po odjeździe stolnikowéj przyszło do tłumaczenia bardzo niezgrabnego. Starościna wzięła całą winę na siebie, ona córce kazała towarzyszyć sobie.

Wojewoda znalazł się z taktem, zmilczał, nie dąsał się, lecz czuć było, że to w nim utkwiło. Piękna Dosia dnia tego czulszą się dlań stała niż dawniéj, troskliwą, serdeczną. Pocichu narzekała przed nim na matkę i jéj płochość, wyznawała że starościna poniekąd jest dla niéj ciężarem, że chciałaby prowadzić życie spokojniejsze i t. d. Czy w ten sposób podejrzenia odwróciła, sama nie była pewną. Daliborski bawił teraz ciągle w Warszawie, zapisy były przygotowane, ale o nich nie wypadało rozpocząć ani interesowanéj Dosi, ani prawnikowi. Starościna to wzięła na siebie. Umiała nawet skorzystać z maskarady i spowiedzi córki.

Dobrawszy sobie chwilę właściwą, gdy pewną była że rozmowy nikt nie przerwie, zasiadła z powagą wielką naprzeciw wojewody.

— Mój drogi zięciu—odezwała się—potrzebuję się z tobą sercem otwartém rozmówić. Dałam ci co miałam najdroższego: perełkę, skarb, klejnot, kobietę jakiéj drugiéj równéj niéma. Niemożesz powiedzićć abyś nie był szczęśliwym: wszyscy ci zazdroszczą.

Ja tu z wami dosiaduję, choćbym i chciała wyjechać, choćbym ją porzucić samą mogła, nie mam siły. Ona ci poświęciła swą młodość, uczyńże téż dla niéj co należy: pojadę spokojna.

— Pani starościno dobrodziejko—odparł wojewoda—ale zapisy są porobione!

— Mój wojewodo! czyż to są zapisy jakich ona warta? Cóż z tą twoją fortuną poczniesz? Córka wyposażona, syna niemasz; komuż to zostawisz? na co ci to?

Wojewoda zaczerwienił się mocno i począł bełkotać:

— Ale, proszęż, bardzo proszę mnie to samemu zostawić: to do mnie należy!

Był obrażony.

— Ja matką jestem!—dodała starościna,

— A ja mężem, mościa dobrodziejko! i dzięki Bogu, jutro umierać nie myślę.

— Nikt nie wie kiedy umrze!—odparła matka.

— Otóż to jest—rzekł wojewoda—a gdyby się Bogu podobało powołać jejmość przedemną, jabym został bez kawałka chleba.

— Przecież dożywocie...

Wojewoda nie dał dokończyć i powtórzył bardzo gwałtownie:

— Proszę mnie to zostawić!

— Jużciż w tych rzeczach waćpanu nikt gwałtu nie uczyni, —z przekąsem się odezwała starościna—powiem tylko jedno, że gdybym ją była chciała wydać za starego X., ofiarował się jéj wnet oddać wszystko. Uniosłam się szlachetnością i afektem asindzieja dla Dosi.

— Mościa dobrodziejko!—przerwał podnosząc się stary, ale rozgniewana matka już była wyszła.

W kwadrans nadbiegła żona niezmiernie zagniewana na rodzicielkę swą, że bez jéj wiedzy, niepotrzebnie niepokoiła wojewodę, niewiedziéć jakiemi propozycyami. Była temu zupełnie przeciwną, niechciała żadnych zapisów, nie żądała ich nigdy, boby i ludzie jéj dobrą sławę szarpali, oskarżali ją o chciwość.

— Jeślim poszła za jegomości — dodała — to przez szacunek i przywiązanie, a o majątki nie dbam. Uchowaj Boże nieszczęścia, nie będę potrzebowała nic, bo pójdę do klasztoru.

Rozpłakała się, wojewoda się rozszlochał, nastąpiła scena niewymownéj czułości: Dosia padła w objęcia męża, który w téj chwili byłby jéj oddał wszystkie skarby świata. Zapomniał o podejrzeniach, zazdrości, gniewie, o starościnie i... królową swą po nogach w końcu chciał całować, ale tego nie dokazał, bo własnych ugiąć nie mógł.

VI.

Zima w tym roku srogą była, ale płaciła za nią wiosna, bo gdy raz się zjawiła z ciepłym swoim oddechem, wszystko się jakby cudem zaczęło rozwijać w oczach i rośliny zdawały śpieszyć, aby czas powetować stracony. Ogrody w okolicach Warszawy, których naówczas tyle było, stroiły się już w liście i kwiaty. Nigdy może namiętność żadna tak u nas nie opanowała możniejszych, jak naówczas manja zakładania i przyozdabiania ogrodów, dzikich promenad, francuzkich wykwintnych szpalerów i rabatów, oranżeryj i trebhauzów. Należało do dobrego tonu, było dowodem wykwintnego smaku rysować planty parków, zakładać w lasach przechadzki i stroić krajobrazy najdziwaczniej częstokroć. Budowano, jak się dowcipnie wyraził Krasicki, który sam na ogrodomanię chorował, piramidy z chrustu; stawiano gołębniki w kształcie świątyń, wznoszono nowe ruiny, murowano kastele, chińskie domy i chatki wiejskie, w których wnętrzu ściany były zwierciadlane.

Słynęły naówczas opiewane przez poetów, ks. Czartoryskiéj wiejskiego pozoru, Powązki; sadził się na najdziwaczniejsze koncepta na Szulcu książę eks-podkomorzy, siedm lat pracując nad sypaniem gór i kopaniem podziemiów; księżna marszałkowa cuda kosztowne robiła w Mokotowie, choć miały pozór dość skromny, a nie licząc już wielkich panów i Szulce i Teppery i Riancour i Cabrit i Liszkiewicz mieli ogrody, miał go Bacciarelli (pod Belwederem), miał kawaler Maisonneuve i nazwał Rozkoszą, tak jak Poniński swoję posiadłość *Sansgène*.

Wysadzano się na fontanny, kaskady, świątynie, groty, łaźnie i t. p. Właśnie tak zwani państwo hrabiowstwo Tomatysowie urządzali się w Królikarni, nie chcąc prawdziwym panom ustąpić w niczém. Tomatys, który dużo wygrywał, a bogaciał w oczach, chciał uchodzić za bogatszego niż był, musiał więc mieć w Królikarni wszystko, co

miała księżna marszałkowa w Mokotowie i Czartoryscy w Powązkach. Chwalono gust pięknéj właścicielki i wytworność, z jaką się Królikarnia stroiła. Między innémi był tam już i zbiór pięknych obrazów, bronzy, popiersia i obicia kosztowne. Zkąd to wszystko pochodziło, wiedział jeden Pan Bóg, a drugi hrabia Tomatys.

Pani stolnikowa, mająca pasyą do wszystkiego co modne, kochała się w ogrodach. Roiła już, że kiedyś u siebie (gdy będzie miała wielkie dobra i pałac) cudowny park założy, chciała więc widziéć co było na okół Warszawy i obiegła już najsławniejsze ogrody, tylko jéj Królikarnia Tomatysów została.

Spotkawszy się więc, z zawsze jeszcze piękną, bo umiejącą jedyny swój skarb, wdzięki pielęgnować, hrabiną, stolnikowa się téj zaprosiła do Królikarni na piękne popołudnie dnia wiosennego.

Pani Tomatys właśnie tego samego poobiedzia zaproszoną była do Tepperów, żałowała więc mocno, iż służyć nie będzie, ale zapewniła stolnikową, że w ogrodzie i pałacyku gospodarować może i rozpatrywać się jak zechce.

Trochę urażona piękna Malinka tém, że sobie z nią nie czyniono ceremonii, właśnie dlatego wybrała ten dzień, by okazać, iż jéj wcale niechodziło o widzenie gospodyni. Niejedna już taka owacya spotkała piękną, ruchomą, gadatliwą i zalotną Malinkę. Kobiéty się jéj obawiały, bo im mężczyzn bałamuciła straszliwie, ze śmiałością i cynizmem nawet, pod te czasy niesłychanym. Wojewodzina téż pocichu psuła interesa przyjaciółce, z przekąsem się o niéj odzywajac. Trzej odprawieni mężowie świadczyli niekoniecznie pochlebnie o stolnikowéj, choć wszyscy byli jéj przyjaciołmi i wzdychali do niéj zdaleka.

Stolnikowa dopiéro w Warszawie się przekonała, że wypadało zmienić nieco tryb postępowania, aby w towarzystwie, zresztą nadzwyczaj pobłażającém, uzyskać nieco poważniejsze stanowisko.

Postrzegła, że na wieczorach w domach, w których bywała, płocha tylko młodzież dwór jéj i otoczenie stanowiła, a kobiéty widocznie od niéj unikały.

Z początku na przebój iść chciała, lecz przekonała się, że się to na nic nie przyda. Przyszły refleksye, pociekły może łzy pocichu, nie wiedziała co z sobą zrobić, pod czyją rzucić się opiekę. Z mnogich wielbicieli nikt na seryo po rękę nie sięgał, choć wszyscy się o łaski dobijali: to ją gniewało.

Chciała naprzekór wszystkim wydać się za mąż. Z przyjaciół żaden się nie dawał zaprowadzić do ołtarza. Tymczasem pierwsza owa dziecinna jeszcze miłość dla wojewodzica, powróciła, rozwinęła się i serce zajęła mocniéj, niż się ono zajmować było zwykło. Z początku urok wspomnień przywiązywał ją do niego, potém jako prześladowany, nieszczęśliwa ofiara, jako znienawidzony przez Dosię, interesował ją mocno; naostatek ujął ją tém, że był niezupełnie do innych podobny i obchodził się z nią inaczéj. Kawalerowie inni prawili słodycze, palili kadzidła; wojewodzic czasem bywał brutal i niegrzeczny, ale w nim czuć było namiętną naturę. Nie wchodzono ściśle w to, czy serce biło, czy zmysły grały pieśń weselną.

Stolnikowa czuwała nad chorym, donosiła mu co się działo w pałacu ojca, biegała za jego interesami, pośredniczyła, przynosiła plotki, najęła mu mieszkanie w kamienicy sąsiedniéj, natrętnie się narzucała. Wojewodzic ją niemal tak traktował jak dobrego koleżkę, ale go i bawiła i potrzebną mu była i nałóg sobie zrobił z codziennego jéj towarzystwa.

Stosunek to był osobliwy, zrazu przyjacielski, potém coraz poufalszy, dotąd beż żadnych na przyszłość widoków. Stolnikowa zapóźno się postrzegła, że ona, co się nie kochała nigdy na dłużéj jak na dni kilka, zakochała się naprawdę w wojewodzicu. Była pewna że to przejdzie jak migrena, lecz żadne środki nie pomagały, owszem przywiązanie rosło i gdy czasem dni kilka nie widziała swojego protegowanego, o całym świecie zapominając, leciała go szukać.

— No! to go wezmę!—powiedziała sobie ze zwykłą lekkomyślnością. Jak zechcę, to się ze mną ożeni, a tę tam jakąś donzellę, doktorównę, porzucić musi. Jemu też tęskno za mną, a gdy jesteśmy razem, o całym świecie zapominamy. No! to go wezmę.

Właśnie tego dnia, gdy w Królikarni być miała, postanowiła rozmówić się z wojewodzicem. Posłała do niego zawczasu służącego, aby się natychmiast stawił. Wicek z sąsiedniéj kamienicy miał dwa kroki do sąsiadki, która na niego czekała niecierpliwie, kręcąc się po pokoju, przeglądając w zwierciadłach, poprawiając włosy i kręcąc na palcach pierścionki. Chociaż wojewodzic natychmiast posłusznym był rozkazowi, niecierpliwa Malinka zaskoczyła go w progu wymówką:

— Ale, jaki bo jesteś ślamazarny! jakto można kazać na siebie czekać tak długo! Wiesz, że ja czekać nie lubię!

Wojewodzic się uśmiéchnął.

— I jeszcze wymówki!—zawołał—porzuciłem wszystko, śpiesząc na rozkazy mojéj bogini!

Dygnęła mu za boginią.

— Zjemy naprędce co w kuchni jest, powóz zadysponowany i jedziemy do Królikarni. Sama nie pojadę; z babami jeździć nie lubię. Pojedziemy sobie we dwójko, *tête à tête*. Dobrze? Tomatysów niéma! Posłuchamy w ogrodzie słowików, pobiegamy i mam z moim panem do pomówienia!

— Wszystko to wybornie uprojektowane, kochana stolnikowo, dobrodziejko moja—rozśmiał się wojewodzic—ale, co ludzie powiedzą, gdy my tak w czułéj parze będziemy jeździli? hę? Mnie to nie szkodzi! a acani dobrodziéjce!

— Mnie to wcale nie frasuje!—przerwała stolnikowa.—Cały świat wié, że ja się żywo zajmuję losem pana wojewodzica. Będą może waćpanu zazdrościć, ale co mi tam! Ja mam nadzieję, że mi się nareszcie kiedyś oświadczysz!

— Niestety! ja się po cztery razy na dzień oświadczam, a stolnikowa zapomina o tém—rzekł wojewodzic—oświadczam się z adoracyą, z pasyą, z uwielbieniem, z ubóstwieniem!..

— Tratata! ale nie z tém, czego ja chcę! Nie!

— Stolnikowo dobrodziejko!—rzekł wojewodzic otwarcie.—Juźciż mnie za męża chcieć nie możesz. Najprzód, że ze mnie o ile kochanek wyśmienity, o tyle mąż będzie najniegodziwszy; powtóre, goły jestem jak święty turecki, a jéjmość nawykłaś pieniądze wyrzucać przez okno jak ja: naostatek jestem zaręczony!..

— To niech cię kto wyręczy!—rozśmiała się stolnikowa—a czemu mybyśmy się nie mieli pobrać?

— Kochana stolnikowo!—odparł wojewodzic—na co się to nam zdało! Pomiarkuj! Każdy z twoich pierwszych trzech mężów był daleko na męża lepszy, niż ja, a wszystkicheś precz poodganiała! Pobralibyśmy się dziś a za tydzień znowu do konsystorza! Z temi trzema, widzisz kochana pani, to było łatwo, bo oni mieli czem zasypać rozwód, a ja?

Spoważniała nagle piękna Malinka, ton się jéj szyderski nie podobał.

— Daj pokój!—przerwała—wiesz, że ja się w waćpanu kochałam, chodząc jeszcze w spodeńkach! Miłość ta, zamiast wywietrzéć, urosła. Chcę się dla ciebie zupełnie odmienić, będę robiła pończochę!

Słowo daję! a starego wojewodę tak osaczę, tak napadnę, że nam majątek musi dać. Ot, jakie są moje projekty.

Wojewodzic wstał, z przesadzoną grzecznością, szyderską, idąc do pocałowania ręki.

— Kochana stolnikowo! lepiéj my o tém nie mówmy! dalipan, toby niémiało sensu!

— Chyba że się kochasz w téj przebrzydłéj Włoszce, któréj ja oczybym wydrapała!—zawołała Malinka.

— A! żem się kochał szalenie i że mi się z tego coś zostało w sercu, nie wypieram się!—rzekł wojewodzic.

Stolnikowa ruszyła ramionami.

— A jednak kochasz i mnie, bo, słowo daję, są chwile! a... są chwile!..

Uderzył w ręce wojewodzic i począł się śmiać.

— Jakże to takiéj Malinki nie kochać i nie paść przed nią. Drugiéj takiéj na świecie niéma! Ale, moja śliczna pani! tyś nigdy za mąż iść nie powinna. Wierzaj mi! Ani ja na męża, ani ty na żonę nie jesteś stworzoną. Małżeństwo przecie, to przykucie do łańcucha, a my oboje niewoli nie znosimy...

— A! taki! ty się ze mną ożenić musisz!—zakończyła tupiąc nóżką stolnikowa.

A teraz do stołu! coprędzéj przekąsimy i do Królikarni!

— Jestem na rozkazy—podając rękę i prowadząc do jadalnego pokoju zakończył wojewodzic.

No! ale cóż tam słychać u mojéj mamy dobrodziéjki?

Tak szydersko macochę nazywał.

— Wojewoda podobno znowu nie domaga—odezwała się Malinka—o ile się ja mogłam dowiedziéć, zaszło coś między małżeństwem. Siedzi tam ciągle mecenas z Lublina.

— Wiem, ten, który mnie namawiał, abym ojcu proces wytoczył—rzekł wojewodzic.—Przyjemny człek! uczciwy człek! Czekam tylko pierwszéjlepszéj okazyi, aby mu kości połamać!

— Gdyby mogli, dawnoby mi tam dom wypowiedzieli—mówiła daléj stolnikowa—ale ja dla miłości wojewodzica, który się ze mną żenić nie chce, tak lawiruję, tak się czynię słodką, dobrą, że nie sposób mnie wypędzić!

Wojewodzic w rękę pocałował, otrzymał uśmieszek, a stolnikowa ciągnęła:

— To tylko biéda, że ze starym wojewodą samnasam, prawie mi niepodobieństwem jest się rozmówić. Jeśli nie Dosia, stoi starościna na straży. Czasem słówko jakie bryznę, coś mu powiem o przeszłości, ale muszę być niezmiernie ostróżną.

— Ostrzeżże, przy zręczności wojewodę—dorzucił Wicek—że ów Daliborski amantem jest, a kto wié, czy nie przyszłym nagotowanym mężem, gdy się im biédnégo mego starego dobić uda!

— Przeciwko amantowi niémam nic!—rzekła stolnikowa—to rzecz pewna, że albo był, lub jest, lub będzie; co się tyczy projektów marjażu, przeczę! Dosia wyżéj patrzy. Zrobi mu nadzieję! a! to pewna, ale że nie dotrzyma, gardło daję!

— Na to się i ja piszę!—rzekł wojewodzic.

Rozmowa się przeciągnęła tak przez obiad cały, konie i powóz stały już przed kamienicą; natychmiast więc, korzystając z pięknéj pory zawinęła się stolnikowa, pośpieszając z wyjazdem. Wojewodzic nie dając się prosić, siadł z nią razem. Ruszono do Królikarni.

Nie upłynęło pół godziny po wyjeździe obojga państwa, gdy cała długą, czarną chustką i zasłoną okryta, kobiéta zjawiła się przed kamienicą, w któréj mieszkał wojewodzic. Twarz miała osłoniętą, rysów jéj przez gęstą krepę dostrzedz nie było można, z postawy jednak zdała się młodą, a piękna i kształtna postać, poruszała się żywo bardzo. Zdawała się śpieszyć, popatrzała na numer domu i wbiegła do sieni. Chłopak, który posługiwał wojewodzicowi, stał właśnie podedrzwiami. Było to dziecko miasta, swawolne, służbą u pana swawolnego téż do reszty popsute.

Kobiéta głosem wzruszonym wielce, spytała go o wojewodzica.

— Toć mój pan, toć ja go znam i wiem. A cóż pani chce od niego?

— Chcę się z nim widziéć!—drżącym głosem odezwała się kobiéta.

— Ale! to już chyba dziś z tego nic nie będzie!—rzekł chłopak.—Niéma pół godziny, jak siedli do karety z panią stolnikową, w któréj się mój pan pono kocha albo i żeni. Słyszałem jak dysponowali do Królikarni. To oni tam, po ogrodzie, jak wezmą chodzić, będzie tego do nocy. A jak wrócą, pan będzie jadł kolacyą u swojéj, to daj Boże, aby po północku wrócił!

Rozśmiał się, wyszczerzył zęby, ręką usta zakrył i patrząc na zakwefioną kobiétę, ciekawy chłopak usiłował rozpoznać jak téż wyglądała: z za zasłony dwoje tylko oczów błyskało.

Kobiéta stała słupem, skamieniała, lekkie drżenie poruszało jéj ręce. Chłopak przyglądał się, nie pojmując milczenia.

— Pojechali do Królikarni, pewno do ogrodu, bo ta jéjmość naszego pana, ona tu zaraz wedle nas, obok mieszka, dlatego żeby bliżéj była wojewodzica; strasznie się w ogrodach kocha: mało nie codzień do jakiegoś ogrodu.

Kobiéta nie odpowiadała jeszcze. Wyrwało się jéj z ust wreszcie słabym głosem:

— Królikarnia! Daleko?

— E! na piechotę daleko!—rzekł chłopak. A jeśli pannie, czy tam pani, bo ja jéj honoru nie wiem, pilno, toć fiakier za talarka zawiezie!

Zwróciła się kobieta, niepewna co ma począć, spojrzała w ulicę. Właśnie przejeżdżał wolny fiakr, powoli się wlokąc. Zawahała się nieco i skinęła nań.

Chłopak grzeczny podbiegł jéj powóz otworzyć.

— W ogrodzie ino szukać!—dodał—tam się oni obójko najdą, napewno!..

I fiakr posunął się ku Królikarni.

VII.

Niedawno założony ogród w Królikarni, na który Tomatys wiele stracił, chcąc go wodą przyozdobić, nie miał w sobie nic tak dalece osobliwego, oprócz kuchni do nowego pałacyku należącéj, na wzór grobowca Cecylii Metelli (*Capo di Bove*) zbudowanéj. Ścieżki wiły się wśród winnic, bo te mieć téż koniecznie chciał hrabia, ulic topolowych, brzeziny, olch z dawnego lasku pozostałych i zarośli jeszcze nie bujnych. Wedle ówczesnéj mody, kilka chatek i galeryi pokrytych słomą, na słupach z drzewa z korą opartych, rozrzuconych było po parku.

Stolnikowa ze swym towarzyszem, powóz zostawiwszy u wjazdu, poszła pieszo. W pałacyku oglądanie obrazów i mieszkania wytwornie umeblowanego, gabinetu saméj pani, całego w jedwabiach i muślinie, niewiele zabrało czasu.

Stolnikowa ciekawą była ogrodu, a ogród był—w nadziei. Smutnie wyglądały pokopane rowy i sadzawki, w których cale wody nie było, gdyż źródła znalezione nie dopisały; za to egzotyczne krzewy rozsypane po parku, właśnie zabierające się kwitnąć i kwitnące, zachwycały Malinkę. Powietrze było wonne, samotność dozwalała jéj bałamucić jak chciała wojewodzica, który zawsze napół seryo, pół żartami jéj odpowiadał. Stolnikowa powracała ciągle do pierwszéj swéj propozycyi rannéj, ażeby się z nią ożenił.

Przesunęli się tak zwolna po parku, poglądając na okolicę, ku któréj gdzieniegdzie przecięte były widoki, i natrafili na budowelkę otwartą, z któréj część Mokotowa widać było. Stała tu pod daszkiem na słupach z korą olchowych, ławka otoczona wkoło bzami i akacyami. Stolnikowa zmęczona trochę, usiadła, wojewodzic obok niéj. Tak byli żartobliwą rozmową i sobą zajęci, że ani śpiewu pta-

sząt, ni rozmaitych gwarów z dali dochodzących nie słyszeli. Wojewodzic trzymał malutką rączkę pięknéj pani i patrzał jéj w oczy.

— Powiadam ci—mówiła stolnikowa—że nie masz nic lepszego do zrobienia, jak się ze mną ożenić. Do twojego charakteru nikt w świecie lepiéj nie przypada. Proszę cię, co tam jakaś Włoszka, mieszczanka, córka doktora! Ani to wychowane jak my, ani żyło w naszym świecie! Zamkną cię, zardzewiejesz, przepadniesz, albo się będziesz musiał zerwać z łańcucha.

Sam mi mówisz, że chociaż ją kochałeś, już ci ta miłość wywietrzała z serca i głowy!

Dziewczynę wydadzą za cyrulika... i po wszystkiém.—Rozśmiała się wesoło.

— Nie idzie tu o doktorównę — odparł wojewodzic — choć naprawdę żal mi jéj, bo jeszcze bardzo czułe listy pisuje, choć ja jéj krótko i zimno odpowiadam; ale, moja stolnikowo, ty z nikim nie wyżyjesz długo. Już te kilka miesięcy cośmy z sobą przebyli, prawdziwy cud!

— Żaden cud!—zawołała żywo Malinka—bo ja nikogo nigdy tak nie kochałam jak ciebie!

I rzuciła mu się na szyję.

Ale w tejże chwili krzyknęła, spostrzegłszy że o parę kroków przed nimi stoi postać jakaś czarna, zakwefiona, nieruchoma. Zajęci sobą, nie widzieli jéj, chociaż, nie kryjąc się wcale, przed nimi stała już chwilę długą, i całą rozmowę doskonale słyszeć mogła.

Postać ta nieporuszona jak posąg, wkuta w ziemię, drgnęła i ręką podnosząc kwef z twarzy, na piersiach skrzyżowała dłonie. Oczy jéj czarne patrzały z dziwnym wyrazem na siedzących, była w nich boleść i—pogarda. Coś tak dumnego, pańskiego miała w sobie, jakby się czuła wyższą nad tych dwoje robaków, istotą z innego świata.

Wejrzenie jéj padło na kobiétę pomieszaną, wojewodzic chciał się zerwać z ławy, i zawołał:

— Pepi!

Ręką jakby go odepchnąć chciała, wskazała ażeby się nie zbliżał.

— Pepi!—powtórzył zmieszany wojewodzic.

Milczenie trwało długą chwilę, stolnikowa chwyciwszy silnie za rękę wojewodzica, trzymała go nie puszczając od siebie, odzyskała

już była przytomność i śmiałość całą, ciekawie wpatrując się w kobietę, w któréj odgadywała rywalkę.

Przestrach jéj przeszedł, była prawie rada, iż się historya z doktorówną w ten sposób rozwiązywała, odgadła w niéj bowiem Włoszkę wprzódy, nim wojewodzic imię wymówił.

Śmiałe dziewczę zmierzywszy oczyma wojewodzica, z palca zdjęło pierścionek powoli i rzuciło mu go pod nogi.

Drugą ręką dobyła potém puginał, który miała u pasa; błysło ostrze, popatrzała nań, i cisnęła go téż na ziemię.

— Nie! — zawołała — nie jesteś wart tragicznéj śmierci, tylko wzgardy, i ja się dla ciebie nie zabiję, bo moje życie dać za miłość takiego człowieka, nadtoby było.

Bawcie się państwo!

Ironicznie rozśmiała się, i krokiem pełnym powagi, zwolna zwróciła się w boczną ulicę i znikła.

Wojewodzic zburzony chciał biedz za nią, stolnikowa z krzykiem porwała go, uczepiła się, chwyciła tak silnie, iż ruszyć się nie mógł.

Upadł na ławkę z ustami wykrzywionemi uśmiechem gorzkim.

— Stolnikowo! rany moje! dusisz mi rękę. Nie ucieknę przecie, gonić jéj już nie będę. Co się stało, to się stało!

To mowiąc, schylił się wojewodzic, podniósł pierścionek, który na palec włożył, wziął sztylet, opatrując go z ciekawością i zawinąwszy wsunął do kieszeni.

Stolnikowa drżała przestraszona, nawet jéj długo słów brakło.

— Prawdziwa Włoszka — odezwała się nareszcie — chciała we krwi waćpana zmazać własną omyłkę... Ale muszę jéj oddać sprawiedliwość: bardzo piękna. Cieszy mnie, żeś waćpan miał dobry gust. Na scenie wydawałaby się wcale niczego, szalałaby za nią młodzież. I teraz po niefortunnie zakończonym romansie, nie pozostaje jéj nic, tylko się wprosić do teatru... Dydonę grać będzie ładnie!

Wojewodzic zadumany dawał jéj szczebiotać. Pomimo płochości jego, scena ta krótka silne na nim uczyniła wrażenie; pogarda, którą mu dziewczę rzuciło w oczy, piekła go jak policzek. Czuł, że ją kochał znowu.

Stolnikowa spojrzawszy na niego, może odgadła co się w duszy działo i chciała go rozerwać.

— Siedzisz waćpan zawstydzony i zmortyfikowany—poczęła—jakby się coś najokropniejszego stało, a powinieneś mi podziękować,

że z méj łaski zostałeś od więzów wolny, które mu ani honoru nie czyniły, ani szczęścia nie zapewniały.

Doskonała aktorka! jak ona to wydeklamowała! Słowo daję, jabym tak nie potrafiła! Rzuciłabym się do oczów... pokąsałabym. A ta stanęła wyprostowana, poważna, udrapowała się tragicznie, i dała nam scenę!!

Poczęła się śmiać, wojewodzic wcale nie miał ochoty jéj naśladować.

Zaczynało się zmierzchać.

— Doktorówna musiała powrócić do miasta—odezwała się stolnikowa — a i nam czas, bo ja dziś muszę być jeszcze w dwu miejscach: jedźmy!

Wojewodzic machinalnie podał jéj rękę, ale był dziwnie milczący.

Malinka szukając po głowie sposobu rozchmurzenia go, nie znalazła innego nad—wino! Postanowiła go u siebie przyjąć podwieczorkiem i upoić.

Posunęła się żywo ku powozowi, a towarzysz wlókł się za nią posłuszny.

— Ale, mój wojewodzicu, nie bądźże parafianinem, i nie przybieraj takiéj miny, *d'un chevalier de la triste figure!* Ja tego nie lubię, i to nie jest w twojéj naturze. Jesteś wolny, masz dobrą przyjaciółkę we mnie; z ojcem zrobimy zgodę, pobierzemy się i pojedziemy do Paryża!

Prawda?—spytała, wdzięcząc się.

Na wszystko to wojewodzic uśmiechał się z goryczą. Prawie ust nie otwierając, dojechał wsunięty w głąb powozu, aż do stolnikowéj, i chciał zaraz iść do siebie, ale go gwałtem wciągnęła na górę.

— Nie puszczę cię, słowo daję—zawołała—musisz mnie odprowadzić i posiedzieć trochę. Ja, choć udaję wesołą, jestem niezmiernie poruszoną.

Natychmiast na wschodach szepnęła lokajowi słówko o podwieczorek i wino, które przyniesiono nim zrzuciła z siebie palatynkę. Zobaczywszy butelki i kieliszki, wojewodzic rzucił się na nie.

— Genialny pomysł! — zawołał — na taki frasunek nié ma na świecie lepszego lekarstwa jak rozum zalać.

— Na taki frasunek—szepnęła stolnikowa—wiész co najlepsze? drugie kochanie. Po kobiécie pocieszyć może tylko kobiéta. Zresztą, wszakżeś jéj już miał dosyć.

Wojewodzic się oburzył.

— Ja jéj nie miałem wcale!—zakrzyknął—końce palców jéj rączek musiałem całować, a zbliżyć się nie było wolno.

— Cha! cha! cha!—zaśmiała się, w ręce klaszcząc stolnikowa— Mówże to sobie komu chcesz, tylko nie mnie.

Wicek ramionami potrząsł: pił, wychylił trzy kielichy jeden po drugim, padł na kanapkę, sparł głowę na ręku i dumał. Stolnikowa przyniosła mu czwarty kieliszek.

— Pij, bo jesteś tragiczny!—rzekła—zaczynasz być nudny: nie poznaję cię. Ten wyraz: pogarda z ust dziewczyny uwiedzionéj...

— Ale, do trzystu tysięcy! — krzyknął wojewodzic — ja jéj nie uwiodłem; ona mnie wodziła, a zawiodła oto, gdzie waćpani widzisz, do tego, że mnie pożegnała—policzkiem!

— Wolałbyś sztyletem?—zapytała Malinka.

— Zapewne, że wolałbym — rzekł wojewodzic — wątpię, żeby mnie zabiła, a tak....

Spuścił głowę. Stolnikowa spoić go koniecznie chciała, i postawiła na swojém. Milczenie długie przerwał świstaniem i śpiewem, wreszcie zwykłém szyderstwem.

— Powiedz mi—odezwał się—przyznaj się, tyś ją tak zręcznie do Królikarni pokierowała? Zkądże mogła wiedzieć żeśmy tam byli?

— Ja?—krzyknęła stolnikowa—ja? co ci się dzieje! Poprzysięgam na cienie moich trzech żyjących mężów, nie ja! Tak znowu wyrafinowaną intrygantką nie jestem; ale z łatwością odgadnę, kto nam się nią przysłużył. Twój Karolek stał w bramie, gdyśmy do Królikarni jechać kazali, słyszał. Jestem pewna, że przybyłéj narzeczonéj musiał wskazać gdzie cię szukać.

Nie chcę pod ciężarem tak szkaradnego podejrzenia pozostać ani chwili.

Zadzwoniła.

— Wołać Karolka!

Zwołano do salonu chłopaka.

Wojewodzic podniósł ciężką głowę.

— Słuchaj—rzekł—pytał cię kto o mnie?

— A, panna czy pani jakaś—rzekł chłopiec.

— Cóżeś jéj powiedział?

— Co prawda, że pan z jaśnie panią do Królikarni pojechali.

Wojewodzic się skrzywił.

— Słuchajże, bałwanie—rzekł—abyś na drugi raz wiedział, że gdy cię kto pyta o mnie, kobiéta czy mężczyzna, niepowinieneś nigdy wiedzieć gdzie ja jestem.

Weź swoje manatki, zabieraj się żywo, i żebym cię gdy powrócę nie zastał, bo ci kości połamię! Zmykaj, pókiś cały...

Karolek tak dobrze znał swojego pana, iż sobie dwa razy tego mówić nie dał; nie pokłoniwszy się nawet, drapnął za drzwi.

Stolnikowa wybiegła przez litość i wdzięczność dać mu parę talarów na drogę.

Wojewodzic na kanapie siedząc, zdrzemnął się czy zadumał, ale na żadne już pytanie odpowiedzi nie dawał. Piękna pani wysunęła się na palcach z pokoju, chcąc się ubrać na wieczór, a gdy wróciła do salonu, już w nim nie zastała nikogo.

VIII.

Wypadek w Królikarni nie pociągnął żadnych widomych następstw za sobą, nie zmienił stosunków; wojewodzic tylko mniéj poufałym i czułym był dla stolnikowéj, która podwajała starań, aby go sobie pozyskać. Zerwałby był z nią może, gdyby mu nie była tak potrzebną w pałacu ojca. Z Filipem widywał się bardzo rzadko, ona mu prawie codzień o macosze, o ojcu przynosiła wiadomości. Nikt nad nią zręczniéj nie umiał śpiegować pięknéj Dosi, któréj wszystkie stosunki były stolnikowéj wiadome. Przez modniarkę, która chodziła do pałacu, potrafiła sobie pozyskać jednę ze sług wojewodzinéj, dziewczę ciekawe, zepsute i chciwe grosza. Basia ta zawsze na zwiadach i posłuchach, wiedziała kto i kiedy bywał, chwytała nawet kawałki rozmowy, odnosząc ją wiernie stolnikowéj. A że pochlebstwem umiała się wkupić w łaski pani i starościny, nic jéj nie uszło.

Wojewodzic więc miał najdokładniejsze wiadomości o tém, co się w pałacu działo, o naradach matki z córką, o projektach prawnika, o środkach obmyślanych przeciw staremu; mógł więc pokierować Filipem, ostrzedz i zapobiedz wielu projektom.

Filip, choć sługa pokorny, miał wiele przywilejów starych, wiernych przyjaciół, a choć człek bardzo prosty, w przywiązaniu dla pana czerpał pewną przebiegłość, i umiał nic nie mówiąc, powiedzieć wiele, natrącić o tém i owém, uwagę obudzić i skierować.

Wszystkie usiłowania teraz zwrócone były na to, ażeby wojewodzie, dosyć o zdrowie bojaźliwemu, wmówić chorobę, potrzebę spoczynku, niebezpieczny wpływ powietrza.

Wojewodzina postarała się o to, pod pozorem nieskuteczności kuracyi, ażeby zmienić lekarza. Nowo instalowany był z jéj ręki, młody cudzoziemiec, dla którego nietylko dukaty wojewodziny, ale jéj

uśmiech i wyzywające wejrzenie wielki urok miało. Akomodował się jéj we wszystkiém i podzielał przekonanie czułéj małżonki, że dla skołatanego życiem starca, spokój był nadewszystko potrzebnym, towarzystwo nużącém, odosobnienie najlepszém lekarstwem.

Zwolna więc zasadzono w krześle znowu pana wojewodę i rozciągnięto nad nim czułą opiekę.

Daleko z tém pani było wygodniéj. W salonie nawet do gości nie życzył nowy lekarz często bywać i przesiadywać długo.

Wojewoda, któremu zapisano miksturę, został zmuszony, pod groźbą najstraszniejszych następstw, zamknąć się z nią i z Filipem w swoim pokoju; tu zaś wpuszczano tylko afidowanych, innych gości odprawiając tém, że pan jest chory.

Staremu chorobę wmówić jest rzeczą w świecie najłatwiejszą, a gdy najlżejsze symptomaty niezdrowia posługują, wyobraźnia na nich dopełnia reszty. Wojewoda sam się już uznawać zaczynał słabszym.

Starościna codzień ubolewała nad cerą jego twarzy, żona się niepokoiła, wojewoda kazał Filipowi podawać zwierciadło i znajdował że istotnie wyglądał fatalnie.

Filip ruszał ramionami.

— Imaginacya, proszę jaśnie pana. Pan zdrowszy niż był; nowemu doktorowi niewiedzieć co się przywiduje... at!

— A ty to masz być rozumniejszy od niego!—mruczał wojewoda.

— Ja tam do rozumu żadnego niémam pretensyi—mówił Filip —a do doktorskiego temci mniéj, a no jegomości służę, niewypominając, czterdzieści lat, to mu z twarzy czytam jak z książki.

Filip kazał sobie panu język pokazać. Wzdychając dopełnił tego stary.

— Język czyściuteńki! a jak pan ma, uchowaj Boże, chorzeć, zawsze obłożony. To konował nie doktor.

Pomimo wielkiéj powagi Filipa, doktorska *auctoritas* przemagała, wojewoda nie wychodził.

Wieczorem się aż posprzeczali starzy przyjaciele, i Filip, co się mu nader rzadko przytrafiało, uniósł się.

— At! — rzekł półgłosem — to są babskie konszachty. Doktora odmienili, aby ten młody śpiewał co mu każą. A jejmościom, choćby obu, z tém wygodniéj gdy pana do niewoli wsadzą, bo się w pałacu rządzą gdyby szare gęsi, noc a dzień kogo chcą przyjmują— i gżą się.

Ostatni wyraz rozgniewał wojewodę, który zań złajał okrutnie Filipa, jak śmiał coś podobnego powiedzieć na wojewodzinę.

— Bo prawda!—zawołał rozjątrzony Filip.

Chciał nawet zaraz tego wieczora za służbę dziękować, ale gdy do téj ostateczności przyszło, oba się popłakali, i Filip pozostał.

Zdaje się, że to słowo, wyrzeczone w pasyi, utkwiło w pamięci wojewody. Powtarzał ciągle pocichu:—I gżą się! gżą!

Jejmość téż raz zamknąwszy męża z pomocą doktora, mniéj mu potrzebowała okazywać czułości, do któréj zmuszanie się wiele ją kosztowało. Rąk nawet nie dawała całować, wprost mówiąc staremu, że je ślini.

Wojewoda nic nie odpowiedział, spuścił głowę, a po wyjściu jejmości powtórzył Filipowe—I gżą się!

Czasami do jego pokoju aż dochodziły śmiechy z salonu, gdy się tam weseléj a huczniéj zabawiano niż zwykle; naówczas wojewoda chmurny, mruczał:—I gżą się!

W istocie w pałacu było wesoło: owa próba wymożenia zapisów, która się nie powiodła, nie zasmuciła zbytnio wojewodziny. Daliborski mówił, że pierwsze lody były złamane, a resztę musiano zostawić czasowi i powolnemu działaniu na umysł starego. Zdaje się, że miano osnuty plan tajemny jakiś, misterny bardzo, który zachowywano w największéj tajemnicy.

Wojewoda chorował tymczasem, trochę przez imaginacyą, trochę z nudów i niewoli; lecz że w istocie czuł się silniejszym, niż mu okazywać było wolno, klauzura niezmiernie ciężyła. Przykrzył sobie tém szczególniéj, że i żonę rzadko widywał i przyjaciół, a znajomych mu odprawiano. Filip o tém wiernie donosił.

— Był tam dziś kto?—pytał smutnie stary.

— A było! było i niemało! Dowiadywali się o pana, dobijali się, ale niepuszczono.

— Któż był?—badał wojewoda.

— Generał Komarzewski, generał Stępkowski, marszałek Raczyński, starosta Hamersztyński: albo to zliczyć!

Wojewoda się zżymał. Byłby choć plotki jakie mógł posłyszeć, coś się o sejmie dowiedziéć.

Między gośćmi trafiali się tacy zabawni ludzie, jak Benedykt Hulewicz, jak szambelan Trembecki, jak ks. Jezierski, który choć do

innego należał obozu, był starym znajomym wojewody, jeszcze z czasu gdy służył wojskowo i bawił się prawem.

Wojewoda skarżył się potém starościnie:

— Moja mościa dobrodziejko, cóżto ja *moribundus* jestem, czy *claustratus*, że do mnie nikogo nie puszczają?

— A kogóż niepuszczono?

— Mnóstwo ludzi było.

— A któż o tém jegomości mówił?

— Kto? kto?—odpowiadał stary, niechcąc denuncyować Filipa. —Nic niéma do tego kto mi to mówił, dosyć że byli goście i poszli z kwitkiem precz.

Obie jéjmoście Filipa przeklinały. Jak tu się go zbyć z domu? Probowano, wojewoda jak mur stał: — Chyba mojéj śmierci chcecie! Filip mi oczy zamknie.

Tymczasem stary sługa, na którego się odgrażano, krzywiono, udawał że nic nie widzi i nie rozumié. Swoje robił.

Pani wojewodzina, choć rzadko wpadała do pokoju męża, i to na krótko, więcéj wyręczając się matką, dostrzegła z obejścia się wojewody, z jego mowy i miny, że stary był zmieniony. Wprawdzie najmniejsza okazana mu czułość, przywracała humor i czyniła go natrętnym znowu, lecz wogóle posępny był, milczący, zrażony.

— Kwasi się, to się kwasi! — mówiła obojętnie. — Jak zechcę, bylem skinęła, będzie takim jak był! A znowu czułości tych jego znieść niepodobna, bo mi obrzydliwość robią.

Był to więc stan jakiegoś przejścia. Starościna miała na oku starego jakiegoś wdowca, za którego się wydać myślała; wojewodzina zajmowała się to Daliborskim, to młodziuchnym kasztelanicem, świeżo z Paryża przybyłym, którego rozrywano sobie nawzajem, a ona miała szczęście go zdobyć na najsłynniejszych pięknościach, ubiegających się o przyjaźń jego. Kasztelanic szalał tak za boską Dosią, jak niegdyś wojewodzic, gdy była panną. Uwzięła się go pozyskać sobie nie przez miłość dlań, nie przez fantazyą, wprost tylko aby mieć tryumf i rywalkom pokazać co może.

Dziwne to były czasy i obyczaje. Z pewną ostentacyą ciągnięto kasztelanica do pałacu, nietylko nie czyniąc tajemnicy z jego wizyt w różnych porach dnia, wieczora; ale umyślnie się popisując z tém, że go przyjmowano sam na sam, gdy nikt inny przypuszczany nie był.

Starościna dopomagała w tém córce, a gdy złośliwsze panie dawały jéj do zrozumienia, że wojewodzina się kompromitowała, ruszała ramionami.

— *Ma très chère!*—odpowiadała z przekąsem—My nic nie mówimy o innych; niech każdy patrzy siebie. Żeby téż Dosi, która się poświęciła niedołężnemu starcowi, nie wolno było trochę się pośmiać i poweselić.

W dniach gdy wielki salon mozajkowany, w którym zwykle przyjmowano we środy i soboty, bywał zamknięty, wojewodzina poufałe gronko miewała w swoim apartamencie. Mały salonik zielony przytykał do buduaru, poprzedzającego sypialnią pani. Korytarzyk tylko dzielił go od wielkich apartamentów. Na ten korytarzyk wychodziły drzwi z salonu małego i sypialni, ale te bywały zawsze zamknięte i wchód do wojewodziny w te dnie stanowiły małe wschody boczne.

Jednego wieczoru, gdy w pałacu było pusto, a Filip pana starego zostawił z różańcem w ręku, siedzącego jeszcze na łóżku po północy, bo go sen nie brał, poczciwy stary około pierwszéj ogarnął się, niespokojnym będąc o wojewodę, i poszedł na palcach zobaczyć czy téż usnął.

W apartamencie wojewodziny jeszcze ktoś był obcy, i, jak się Filip wyraził, jeszcze się gżono.

Sługa miał zwyczaj, zlekka drzwi uchyliwszy, podsłuchać i zajrzeć. Wojewoda śpiąc zwykle mocno chrapał. Nie słysząc tego głosu zwiastującego sen, Filip wejrzał czy jeszcze się różańcem zabawia, i przy świetle nocnéj lampki nie mogąc dojrzeć nic, wszedł na palcach.

Skierował się wprost do łóżka, ale jakiż był przestrach jego, gdy na niém miejsce tylko wysiedziane zobaczył: wojewody nie było.

Obejrzał się wkoło, i teraz dopiero przekonał się, że drzwi sypialnego pokoju, prowadzące do dalszych apartamentów, stały otworem. Świéca woskowa zagaszona, którą zwykle przy łóżku stawiano, znikła. Rozglądając się daléj, zobaczył że i butów rannych i szlafroka tureckiego nie było.

Ponieważ wojewoda nigdy a nigdy w nocy nie ruszał się sam z pokoju, a wyjście ztąd prowadziło do wielkiego salonu, Filip osłupiał, niemogąc pojąć co się stało ze starym. Jeżeli potrzebował czego, mógł go zawołać, bo Filip spał obok, i dzwonek od łóżka wojewody miał pod głową.

Chwilę długą stał sługa, niemogąc się zoryentować co pocznie... Strach ogarniał go coraz większy. Pochwycił świécę na kominie stojącą, zapalił ją ręką drżącą u lampki, i przez drzwi otwarte poszedł szukać pana.

Z sypialni wychodziło się do małego gabinetu o jedném oknie, stanowiącego rodzaj przedpokoju; za tym szedł pokój duży, zwany biblioteką, bo w nim stało parę szaf z książkami, pokój bilardowy, gdyż ta gra w modzie być zaczynała, i król dla emocyi, chętnie w nią grywał. Za bilardem była owa wielka sala mozajkowana, pokój gry, gabinet i wyjście z niego na korytarzyk, dzielący od apartamentu pani.

Ze świécą w ręku Filip przechodził z kolei wszystkie te pokoje, rozpatrując się w nich, ale wojewody nigdzie nie znalazł. Drzwi tylko zwykle zamykane, między pokojami, stały wszystkie otworem. Doszedłszy do gabinetu od korytarza, Filip uczuł mocny swąd, jakby zgaszonéj świécy woskowéj.

Przez drzwi roztworzone ciągnął wiatr z korytarza i wschodów, Filip musiał osłonić świécę, aby mu jéj nie zgasił. Z progu już ujrzał coś na ziemi leżącego, i nogą potrącił o srebrny lichtarz, w którym świécy knot jeszcze niedogasły, kopcił. Trochę daléj pode drzwiami apartamentów pani leżał bez zmysłów wojewoda.

Co go tu sprowadziło? co posłyszał czy zobaczył, iż go jak piorunem raziło? Któż odgadnie. W pokojach pani rozlegały się jeszcze śmiechy i śpiewy. Ktoś towarzysząc sobie na klawicymbaliku, wyśpiewywał francuzką piosenkę.

Ale Filip nic nie słyszał; z krzykiem przypadł do leżącego pana, podnosząc głowę jego. Wojewoda dawał jeszcze znaki życia. Stary wołał co sił miał.

Stała się najprzód cisza w pokojach, potém bieganina, i kobiéty wypadły zdziwione i wylękłe.

Nie czas było dochodzić jakim sposobem znalazł się tu wojewoda, najpilniejszą rzeczą było przenieść go do sypialni na łóżko i posłać po doktora. Widać, że musiał jeszcze pozostać ktoś z gości u wojewodziny, gdyż kareta jego w czwał popędziła po lekarza, i w kilkadziesiąt minut była z nim nazad.

Doktor nie mówiąc słowa, co rychléj krew puścił. To ocaliło życie panu wojewodzie, a że atak był pierwszy i ratunek dość prędki, nie pozostało nawet żadne sparaliżowanie po nim. Stary osłabiony mocno, nadedniem mowę i zupełną przytomność odzyskał.

Lecz pierwszy użytek jaki z niéj zrobił, był: że żonie wskazał, aby z pokoju wyszła.

Zmieszana mocno piękna Dosia chciała się opierać, gdy doktor dał jéj znak, ażeby się nie sprzeciwiała. Wojewoda odprawił tak samo starościnę.

Dwie kobiéty powzięły ztąd przekonanie, iż stary zmysły utracił i oszalał. Chciały przynajmniéj wmówić to wszystkim, aby tym sposobem wytłómaczyć swe wygnanie.

Niespokojna wojewodzina poprobowała nazajutrz znowu wsunąć się do sypialni męża, lecz poruszył się tak gwałtownie, ukazując na drzwi, iż uląkłszy się, uciekła.

Zresztą milczący był wojewoda, i oprócz słów kilku koniecznych do służby, nie mówił nic. Doktor probował rozmowy, i miał sobie polecone wybadanie go, ale i z nim stary mówić nie chciał. Zbył go kilką słowy. Zresztą najzupełniéj przytomny, okazywał nawet więcéj energii niż zwykle.

Wypadek ten przeraził niezmiernie dwie kobiéty. Po cichéj z doktorem naradzie, sztafetę posłano po Daliborskiego, a że w mieście rozeszła się wiadomość o chorobie starego, i wizyty kondolencyjne płynęły, piękna Dosia przyjmowała je z powagą wielką, ze smutną twarzą, opowiadając, iż wojewoda miał atak apopleksyi, i po nim jeszcze niezupełnie odzyskał przytomność.

Starościna szeptała otwarciéj daleko, bijąc się po czole, że był *mente captus*. Spodziewano się, iż to ominie go; lecz tymczasem korzystając z władzy jaką dawała choroba, wojewodzina chciała zaraz Filipa wypędzić, mając nań jakieś podejrzenie, że panu towarzyszył w nocnéj przechadzce, ale lękano się jego języka.

Wojewoda téż ani na moment nie dawał mu się oddalać od siebie.

Choroba, zamiast go osłabić, wywołała w nim zmianę nadspodziewaną: stał się gwałtownym, niecierpliwym i despotycznym.

Następnych dni wojewodzina po razy kilka ukazywała się we drzwiach, za każdą razą odpędzana w sposób tak brutalny, iż z trwogą uciekała. Starościna parękroć sprobowawszy, nie śmiała się już ani zbliżyć.

Obie odchodząc powtarzały: „zwaryował!”

Doktor, gdy o tém mówiły, chcąc go nakłonić aby był tegoż zdania—milczał. Wojewoda w istocie najzupełniejszą miał przytomność,

lecz powziął do żony niewypowiedziany wstręt, z którym się wcale nie ukrywał.

Położenie groźném się stawało. Nadjechał Daliborski i złożono radę.

Przed tym przyjacielem domu potrzeba było wyznać wszystko. Wzięła to na siebie starościna.

— Jesteśmy w przykrém położeniu z tym przeklętym starcem— rzekła.—Przyznam się waćpanu, że gdybym była mogła przewidzieć co nas z nim czeka, nigdybym Dosi za niego nie wydała.

Koniec końców, rzecz taka: co mam przed waćpanem taić? Dosia miała u siebie kasztelanica, który się w niéj zakochał do szaleństwa. Zasiedział się tu do późna, nie można się go było pozbyć: swawolił, śpiewał. Wojewoda podejrzliwy i zazdrosny, podszedł w nocy pod drzwi, coś podsłuchał,—ja tam nie wiem, i padł rażony apopleksyą. Nie jesteśmy jeszcze pewni, czy ten łajdak Filip był z nim, bo to do niego podobne, czy późniéj nadszedł (tak się on tłómaczy); dosyć że gwałtu narobił, krew puszczono i odratowano go, ale obrzydły ten grzyb ani na oczy już nie chce dopuścić ni mnie, ni żony. Woła: „precz! precz!" i wygania. Ja powiadam że waryat. Niéma innego sposobu tylko go zamknąć w domu i za waryata ogłosić.

Spojrzała na starostę, który włosy pogładzał i dumał.

— Co pan na to?

— A zapisy?—odparł—z nich więc nic nie będzie?

— Tu więcéj idzie niż o nie!—zakrzyknęła starościna—jeśli my go nie zamkniemy, on nas powypędza.

Po tym wstępie nadeszła dosyć zmieszana wojewodzina.

— Stary z zazdrości miał wizye jakieś—poczęła żywo.—No, cóż z tego że był kasztelanic. Mama przecie siedziała w drugim pokoju. Cóż tak zdrożnego? Żartowałam z niego, nic więcéj... Nudny jest. Tymczasem teraz historyą mamy wcale nieprzyjemną.

Starościna wtrąciła gwałtownie:

— Wszystko to przez tego gałgana, pochlebcę, zdrajcę, który nas nienawidzi, tego Filipa: on sprawcą całego nieszczęścia. Zechcemy co począć z wojewodą; póki on tu jest, niemożna nic: zdradzi, wypowie, gotów polecieć ze skargami głupiémi choć do króla.

— Wojewoda go na chwilę od siebie nie puszcza—przerwała wojewodzina.

— Najprzód się go trzeba pozbyć—kończyła matka—to pierwsza rzecz, potém doktora pozyskać, naostatek go zamknąć: co będzie, to będzie.

— Odprawienie Filipa niełatwe!—potrząsając głową szepnęła wojewodzina.

Daliborski słuchał i ważył.

Dobre dwie godziny radzono, rachowano, omawiano sprawę, posłano po doktora. Mecenas z nim zamknął się w gabinecie i siedział z pół godziny; wyszli z niego oba zasępieni i dopiéro po odjeździe pana konsyliarza, opowiedział starosta, iż do pewnego stopnia na niego można było rachować, lecz w warunkach, jakie zakreślił.

Lekarz chciał o ile możności pozostać biernym w téj sprawie. Radził ze swéj strony, gdy cokolwiek sił nabierze chory, wytłómaczenie się żony, porozumienie z mężem i pojednanie, choćby kosztem jakiéj sceny gwałtownéj; utrzymymał bowiem, że jako szalonego zamknąć go było trudno. Radził téż Filipa, jako niepotrzebnego świadka odprawić.

Daliborski wziął to na siebie.

Postarano się najprzód o niemłodego już sługę, który miejsce jego miał zastąpić. Cały dzień jeden zajął egzamin kandydata i instrukcye.

Gdy wszystko przygotowaném już było, mecenas posłał po Filipa.

Stary, nie domyślając się o co chodziło, przyszedł jak stał w kapocie szaréj, z chustką i tabakierką w ręku.

Daliborski chodził po pokoju.

— Jest wolą pani wojewodziny!—rzekł surowo—abyś się waćpan od usług wojewody uwolnił. Wpływ jego jest choremu szkodliwy.

Filip niezrozumiał.

— Jak? jak?—zapytał z flegmą.

— Masz waćpan pensyą dożywotnią zapewnioną taką, jaką brałeś!—dodał mecenas—i jesteś odprawiony.

— A któż-to mnie odprawia?—odezwał się Filip.

— Pani wojewodzina.

— Pani wojewodzina mnie nie przyjmowała i odprawiać niéma prawa—rzekł Filip.

— Co do prawa, zostaw asan nam, rozsądek o tém!—odparł mecenas.—Życzyłbym, nie stawiąc daremnego oporu, wynieść się, jeśli waćpan nie chcesz się dostać pod areszt i straż marszałkowską.

— Tak?—zawołał Filip.

— Tak!—potwierdził mecenas.

Nie mówiąc słowa, blady stary sługa zabierał się wychodzić.

— Za pozwoleniem!—dodał Daliborski—uprzedzam acana, że do wojewody iść mu niewolno. Wszystkie jego rzeczy są spakowane na wozie, proszę się natychmiast oddalić i nie pokazywać tu więcéj, pod rygorem kary najsurowszéj.

Wysłuchawszy tego Filip miał się ku drzwiom. O siebie mu nie szło bynajmniéj, serce miał rozdarte tém, co jego pana czekało. Gwałtowne to oddalenie zwiastowało jakiś krok zuchwały, przy którym świadka się obawiano.

Wyszedłszy do sieni, Filip się jeszcze namyślał co pocznie, gdy go dwu drabów, już nań oczekujących, zaprosiło z sobą. Wóz upakowany stał w dziedzińcu.

Za starym sługą zamknęły się wrota pałacu.

Daliborski zdecydował, że pozbycie się jego było koniecznėm, a plotki jakie mógł siać po mieście, nie groziły niczém, bo je łatwo było odeprzéć, tłómacząc zemstą za daną odprawę. Miasto zresztą zbyt było innémi sprawami zajęte, ażeby miało zważać na gadanie starego biédaka.

Gdy się to działo w boczném skrzydle pałacu, nowy kamerdyner na palcach wchodził do pokoju wojewody. Zobaczywszy go chory osłupiał.

— Acan tu co robisz?—spytał.

— Jestem dany do usług jaśnie pana!—odezwał się przybyły.—Pan Filip nagle mocno zachorował (tak mówić mu kazano), już dwa razy krew puszczano, ale nieprzytomny i bezwładny.

Kamerdyner nowy układny był wielce i nadskakujący.

Wojewoda zerwał się, sądząc, że istotnie chory Filip leży w przedpokoju; oznajmił mu nowy, iż go zawieziono do Szarytek.

Z niedowierzaniem przyjął tę wiadomość wojewoda, milczał długo, w głowie mu się to niemogło pomieścić: Filip przed chwilą zdrowiuteńki, uśmiechnięty, posługiwał mu.

— Kiedyż zachorował?—spytał.

Kamerdyner dosyć zręczną ułożył bajeczkę. Starzec patrzał mu w oczy, był wzruszony tak, że drżał cały; opanowała go trwoga jakaś, żal, smutek, i podparty na ręku, niepatrząc na przybysza, pozostał aż do wizyty doktora.

Doktor, niechcąc się mieszać do sprawy sługi, o chorobie jego udał zupełną niewiadomość. Obiecał dowiedziéć się, pójść, radzić, a tymczasem nakazał spoczynek i unikanie wszystkiego, co mogło zbytecznie poruszać.

Nowy kamerdyner tak instynktowo wstrętliwym był wojewodzie, iż nie dając mu sobie służyć, odprawił go do przedpokoju.

Wielki i stanowczy krok został zrobiony; wojewoda już niémiał przy sobie nikogo i był na łasce pań, które go wzięły w niewolę. Opinią publiczną zwolna przygotowywano do tego, że atak apopleksyi pociągnął za sobą lekkie obłąkanie i słabomyślność.

Filip wyrzucony tak nagle i niespodzianie, potrzebował na to czasu by się opamiętać i obmyśleć co pocznie. W pierwszymlepszym zajeździe kazał zrzucić swoje rzeczy, a sam tegoż wieczora poszedł do wojewodzica.

Działo się to w kilka dni po scenie w Królikarni. Mimo starań stolnikowéj, aby zatrzéć jéj wrażenie, wesoły Wicek chodził struty.

Upajała go dla rozweselenia, pił chętnie, ale stawał się potém nieznośnie szyderskim, grubianinem i brutalem. Mówił jéj wbrew takie rzeczy, że nawet ona ich znieść obojętnie nie mogła.

Był nieswój, zmieniony i nic go już w świecie nie zdawało obchodzić, oprócz losu ojca i pragnienia zemsty nad macochą.

Unikał tłumnych towarzystw i jeżeli go nie wciągnęła do siebie stolnikowa, siedział w domu sam lub drzemał po dniach całych. Leżał właśnie na łóżku, gdy w progu Filip, blady i zmieniony się zjawił.

— No, jak się masz stary?

Nie było długo odpowiedzi.

— Co ci to?—zapytał wojewodzic.

— Mnie, nic!—rzekł sługa—ja gotów jestem każdéj godziny stanąć przed sądem Bożym, więc się i śmierci nie boję. Naszemu panu grozi nieszczęście jakieś; nie chcieli miéć świadka: precz mnie wypędzili!

O chorobie ojca i o jéj przyczynie wojewodzic był uwiadomiony z odgłosu publicznego, bliżéj nie znał okoliczności, bo Filip od tego

wypadku na krok nie mógł wojewody odstąpić. Teraz dopiéro opowiedział wszystko ze szczegółami.

Wojewodzic załamał ręce nie z rozpaczy, ale z gniewu.

Do późnéj nocy siedzieli z sobą, nic postanowić nie umiejąc.

Nazajutrz Filip wrócił raniuteńko, radzono niemal dzień cały. Po obiedzie stolnikowa pojechała w odwiedziny do Dosi i mimo swych przywilejów przyjaciółki młodości, nie została przyjętą, ani przez nią, ani przez starościnę.

Po mieście mówiono, że wojewoda jest niebezpiecznie chory i nie przy zmysłach.

Filip był tego zdania, iż szybko bardzo coś poczynać było potrzeba, bo staremu groziło niebezpieczeństwo. Może być że za jego poradą wojewodzic pojechał do młodego lekarza, który teraz zastępował Beckera.

Cudzoziemiec to był, potrzebujący karyery, chętnie się akomodujący możnym klientom, ale ostrożny i nie przechodzący granic, których przestąpienie groźném staćby się mogło.

Wojewodzic znalazł go w domu i począł od powiedzenia mu nazwiska. Byli samnasam. Sama powierzchowność młodego panicza mogła uprzedzić doktora, że miał do czynienia z człowiekiem zuchwałym, z którym ostrożnie obchodzić się było potrzeba.

— Nazwisko moje, a zapewne i historya moja nie jest panu obcą—odezwał się przybyły.—Ojca mojego, wojewodę, masz waćpan w kuracyi. Będę lakonicznym i otwartym. Mnie z domu wygnała intryga kobiéty, która wprzód, nim została moją macochą, była moją kochanką. Chcą opanować starca, aby owładnąć majątkiem. O majątek mi nie idzie. Ogłaszają wojewodę waryatem. Prawda, że małżeństwo podobne zmysłów człowieka pozbawić może, ale wiem, że ojciec mój jest przytomnym.

Odpędzono jego starego sługę, aby zbrodni nie miéć świadka, waćpana, panie konsyliarzu, zechcą wciągnąć w tę brudną sprawę. Przyszedłem go przestrzedz, iż się narazisz na potępienie publiczne.

Doktor rzucił się przestraszony.

— Jestem lekarzem—zawołał—ale do żadnych intryg nie mieszam się i nie wiem o nich.

— Więc poświadczyć możesz, iż wojewoda jest w pełném posiadaniu przytomności i zmysłów.

— O ile chory nim być może—odparł doktor.

— Żadnych ekwiwoków, panie konsyliarzu!—odparł wojewodzic—jest przytomny, czy nie? Robią go waryatem, czy i pan także?

— Nie!—odparł doktor zmieszany.

Wojewodzic garść dukatów wysypał na stół.

— Proszę mi napisać świadectwo!—rzekł.

Młody doktor zawahał się i potrząsł rękami.

— Pocóż to świadectwo? - zapytał.

— Ono mi jest potrzebne, to moja sprawa!--rzekł wojewodzic—ja je mieć muszę.

— Pan pojmujesz!—odezwał się ocierając czoło Niemiec—ja mówię to co dziś jest, przewidzieć nie mogę, co się stanie.

— Ja też potrzebuję świadectwa na to, co jest dziś!—dodał wojewodzic—i powtarzam panu, że go potrzebuję koniecznie.

Doktor jeszcze się chciał wymawiać, gdy wojewodzic dołożył:

— Pan mi go napisać musisz, jako uczciwy człowiek!

Nacisk położony na ostatnie wyrazy, podziałał mocno na doktora, który siadł pisać natychmiast.

Po odczytaniu skryptu, wojewodzic rękę mu podał.

— Nie używaj pan, proszę, tego papieru, chyba w ostateczności—szepnął lekarz skłopotany.

— Nie obawiaj się pan, użyję go tak, iż pana nie skompromituję.

I wyszedł.

IX.

Do króla w czasie tego sejmu trudno się było dostać. Nawet gdy posiedzeń nie było, gdy posłowie się rozjeżdżali, przygotowywało się tyle rzeczy, tyle wpływów krzyżowało się na dworze, taki był nacisk petentów, agentów, obywateli z prowincyi, tyle projektów się obrabiało na naradach tajemnych z Ignacym Potockim, ks. Pinolim, Kołłątajem, Lucchesinim i Buchholtzem, iż król czasu tchnąć niémiał. Ścigano go w Kozienicach, nie dawano pokoju w Łazienkach, zabiegano drogę, gdy w Skierniewicach prymasa chciał odwiedzić, lub w Sielcach panią hetmanową.

Król stawał się popularnym, jak nigdy nie był, ale brzemię téj popularności ciężyło na nim. Gdy w sali audyencyonalnéj czekała szlachta i honoratiores, często nawet który z posłów zagranicznych, starosta piaseczyński przez garderobę wprowadzał na ciche posłuchanie protegowanych i protegowane.

Częstokroć jednego dnia musiał Stanisław August całą swą poliglotyczną umiejętność okazać, mówiąc z jakim Coxem po angielsku, z Francuzami w ich języku (a ten najmilszym mu był ze wszystkich), z Włochami, z Rosyanami i Niemcami.

Nie kosztowała go ta nadzwyczajna uprzejmość, którą okazywał wszystkim w ogóle, lecz umysł się ważył, tysiąca przedmiotów zmuszony dotykać, a z każdym chcąc się pokazać oswojonym.

Jak języki tak nauki i najróżnorodniejsze przedmioty, król z encyklopedyczną łatwością pojęcia przyswajał sobie do tyla, że mógł o nich rozprawiać, nienarażając się na śmieszność. Z Poczobutem i Śniadeckim przypatrywał się słońca zaćmieniu z równém zajęciem, jak w fabrykach tkaninom, jak w kuźniach żelaznym sprzętom, w Kozienicach broni, w szkole doświadczeniom fizycznym, a potém haftom uczen-

nic ks. Jabłonowskiéj. Wszystko go interesowało: gramatyka Kopczyńskiego, kanał Ogińskiego, Bogusławskiego teatr, muzyka włoska i filozofia. Dyletantyzm naukowy i artystyczny daléj posuniętym być nie mógł, nieszczęściem i w polityce i w sztuce militarnéj był król téż dyletantem.

Wojewodzicowi zdawało się, że w sprawie ojca, prywatna z królem rozmowa mogła mu być pomocną. Wojewoda był zawsze wiernym sługą króla i trzymał się dworskiéj partyi. Przekonał się jednak wojewodzic, że przystęp do monarchy nadzwyczaj był trudnym.

Chociaż po powrocie z Strasburga przez jakiś czas bawiąc w Warszawie, nim go osławiono i nim się sam w oczach ludzi skompromitował, wojewodzic miał wiele znajomości; ci dawni życzliwi przyjaciele, protektorowie, teraz w ulicy udawali, że go nie poznawali, odwracali głowy, a w domu ich nigdy nie zastawał.

Wiedziano o tém, że ojciec się go wyparł i wierzono, że się to nie mogło stać bez powodów ważnych, bez ciężkiéj winy syna.

Stolnikowa, pragnąca go sobie pozyskać, pobiegła szukać dróg do króla i trafić na nie nie mogła, gdy powiedziała dla kogo je chciała otworzyć.

Księcia marszałka w Warszawie nie było. Wojewodzic postanowił pukać do wszystkich drzwi i począł od ambasadora. Tu przystęp był prawie tak trudny, jak do N. Pana, a gdy się wreszcie dostał, zbył go generał ruszeniem ramion, odpowiadając ironicznie, iż sam teraz nie bardzo z dworem był dobrze.

— Pójdź waćpan do Lucchesiniego i Buchholtza—rzekł żegnając

Buchholtz—ciężki, milczący, zawsze roztargniony, flegmatyczny Niemiec, odmówił pod pozorem że się w to nie wdaje.

Lucchesiniego, który był bardzo w modzie naówczas, nie znał wcale wojewodzic; byłto człowiek nowy: *de passage.*

Austryacki de Caché, dawniéj widywany, wymówił się tém, że bardzo małe miał stosunki. W istocie ks. Czartoryski słusznie zwrócił jego uwagę na to, że partya austryacka w Polsce składała się cała „ze mnie, ciebie i mojego pieska.”

Plenipotent zakonu maltańskiego, kawaler de Maisonneuve, do którego umyślnie pojechał na Rozkosz wojewodzic, bo z nim kiedyś hulali razem i byli bardzo dobrze, choć poufałym był w Łazienkach, a wszechmogącym u ks. marszałkowéj, tak był zajęty komedyą francuzką, któréj się uczył, że chwileczki czasu niémiał.

W ostateczności wojewodzic trafił do Ryksa, zaklinając go na wszystko w świecie, aby króla o kwadrans posłuchania błagał w interesie ojca. Starosta piaseczyński, dobry człek, uczynny gdy mógł, dał się ubłagać. Naturalnie posłuchanie to mógł otrzymać wojewodzic, przechodząc przez garderobę i w chwili gdy król się ubierał. Często nawet i w tych godzinach pani krakowska czytywała mu depesze lub król listy dyktował, trzeba więc było wybrać moment spoczynku.

Przez trzy dni z rzędu wojewodzic zrezygnowany chodził tylnémi wschodami i siedział w garderobie. Raz miał za towarzysza bogatego Izraelitę z Hamburga, drugi raz niegdyś ładną, mocno wybieloną osóbkę, która patrząc w okno wzdychała; trzeciego dnia go wpuszczono.

Z króla właśnie zdejmowano pudermantel, w atmosferze jeszcze się unosiły mgły i obłoczki pudru, woniejącego jasminem.

Stanisław August nie był już naówczas tym cudnie pięknym młodzieńcem, który w czasie koronacyi, całéj płci niewieściéj głowy zawracał; znać w nim jednak było i krew pańską i dawną piękność pełną uroku, słodyczy i uprzejmości. Słodycz ta teraz wycisnęła się na obliczu w ten sposób, iż zpod niéj troska i zasępienie przeglądało. Była maską włożoną dla świata. Zręczna postawa, śliczne ręce, oczy pełne wyrazu, czyniły króla jeszcze przystojnym mężczyzną, choć włos mu siwiał i cera zdradzała znużenie wielkie.

Nikogo nie było w gabinecie królewskim, oprócz Ryksa, który wprowadziwszy wojewodzica, natychmiast się cofnął.

Król przybrał twarz prawie surową, co u niego było nader rzadkiém. Patrzał roztargniony i niespokojny na zegar, dając do zrozumienia, iż mało miał czasu.

— Najjaśniejszy Panie!—odezwał się wojewodzic—ojciec mój szczycił się kiedyś łaską W. Kr. Mości.

— I nie postradał jéj, nie!—odparł król sucho.

— Przychodzę w jego sprawie, błagać opieki króla.

— W jego sprawie?—przerwał Stanisław August.—Jeśli się nie mylę, między wojewodą a waćpanem, z winy jego własnéj, wszystko zostało zerwaném?

— Z winy mojéj po części, ale bardziéj jeszcze przez niecną intrygę kobiéty, która...

— Proszę, bardzo proszę!—przerwał król—nic uwłaczającego pani wojewodzinie nie mówić. Znam ją i szacuję!

— Zatém nic chyba W. K. Mość mówić mi nie dopuścisz! — rzekł wojewodzic. —Ojca mojego wzięto w kuratelę, ogłaszają go niemal waryatem, trzymają w zamknięciu, odebrano mu ostatniego przywiązanego sługę.

Król mocno brwi zmarszczył i kilka razy odetchnął głośno.

— Ale to są!... to są przesadzone, urojone, potwarcze pogłoski! —odezwał się.—Zamiast opiekować się ojcem, co nie jest w naturze rzeczy, lepiéjbyś waćpan uczynił, zajmując się sam sobą: to mu radzę i życzę.

— Jeżeli W. K. Mość raczysz opiekę swą rozciągnąć nad wojewodą! —rzekł kłaniając się głosem poruszonym wojewodzic.

— On opieki nie potrzebuje! - odparł król surowo—ma ją w przywiązanéj i zacnéj małżonce, któréj waćpan ocenić nie umiałeś!

— N. Panie!—rzekł zburzony wojewodzic—mogłem ją lepiéj ocenić niż ktokolwiekbądź, bo nim została moją macochą, znaliśmy się bardzo zblizka.

Usłyszawszy to, król nogą uderzył w podłogę.

— Mości panie!—zawołał—*ce n'est pas d'un galanthomme*, podobne mówić rzeczy, których ja słuchać nie chcę i nie mogę!

Wojewodzic wyprostował się, twarz jego zapaliła gniewem i ironią, nie zwykł był od kogokolwiekbądź znosić podobnych przymówek. Z dumną postawą, ukłoniwszy się zaledwie, zabierał się ku drzwiom, gdy król, zawsze chcący sobie raczéj ujmować, niż zrażać do siebie ludzi, łagodniejąc odezwał się:

— Nie bierz mi asindziej za złe tego, co w najżyczliwszy dla niego sposób powiedziane zostało. Jestem ojcem waćpana, z urzędu mego tak, jak wojewoda ze krwi: mówię i karcę po ojcowsku, ale z miłością w sercu.

— Okażże ją W. K. Mość nie dla mnie—odparł wojewodzic—ale dla znękanego starca!

Bądź mu ojcem, odwiedź go, posłuchaj!

Król się zamyślił.

— Waćpan jesteś poruszony, zirytowany nad miarę, masz do pani wojewodziny niechęć za odepchniętą miłość występną.

— N. Panie! —przerwał ironicznie wojewodzic — wówczas gdym miał nieszczęście kochać ją, miłość moja występną nie była, bo ojca mojego nie znała, a odepchnięty *nie zostałem.*

Król coś niezrozumiałego zamruczał.

— Proszę! proszę!.. ja tego słuchać nie mogę. Uspokój się asindziej; spodziewam się, że wojewodzie żadne nie grozi niebezpieczeństwo... To są plotki przedpokojowe (*des caquets d'antichambre*), które waćpanu usłużni przynoszą.

Spojrzał na zegarek, Ryks się już we drzwiach pokazywał. Król skinął głową i popatrzywszy za odchodzącym, westchnął.

Dano mu znać, że Lucchesini oczekiwał w sali audyencyonalnéj. Zbierało się właśnie na ów sławny alians z Prusami, w którym wszystkie korzyści były dla Prus, a wszystkie ciężary dla Rzplitéj. Stanisław August pośpieszył naprzeciw markiza.

Lecz tego samego wieczora pani wojewodzina odebrała bilecik od generałowéj Grabowskiéj, z przypiskiem własnoręcznym króla, donoszący jéj o posłuchaniu i danéj odprawie. Podanie głosi, że gdy młody naówczas Kościuszko królowi się miał przyznać, że chce wykraść pannę Sosnowską, Stanisław August pośpieszył o tém dać znać ojcu. Niebezpiecznie więc było go brać za powiernika. Wdzięczna twarzyczka pani wojewodziny była królowi miłą, brał więc stronę jéj przeciwko pasierbowi, który, oprócz tego, dobréj sławy nie używał.

W pałacu bilet pani Grabowskiéj, chociaż oględnie napisany, wywołał najokropniejszą burzę. Starościna i jéj córka odgrażały się przeciwko wojewodzicowi, pałając taką zemstą, że, gdyby tylko środki miały potemu, najokropniejszych skutków spodziewać się było można. Gdyby najmniejszy pretekst posłużył, wojewodzina wtrąciłaby go była do więzienia, skazała na śmierć.

Z gniewu płakała i rzucała się jak dziecko, ale co tu było poczynać? Starościna, równie przestraszona, doradzała jakieś pośrednictwo i układy; córka czuła, że żadne skarby w świecie rozjątrzonego śmiertelnie Wicka nie będą mogły ująć i uspokoić. Była to walka, w któréj jeden z zapaśników paść musiał. Cały wieczór zszedł na lamentach i odgróżkach. Daliborski chodził zamyślony, bo i on nic radzić nie umiał.

Nazajutrz rano, pomimo najściślejszego nadzoru nad wojewodą, do którego już nikogo, oprócz doktora i to w towarzystwie jednéj z pań nie dopuszczano, stała się rzecz prawie nie do wiary, a stała tak niepostrzeżenie, iż nikt o tém nie wiedział.

Między godziną dziesiątą a jedenastą zwykle służba jadała na dole śniadanie, nowy kamerdyner wojewody zchodził także do stołu i na swém miejscu zostawiał chłopca, który te obowiązki pełnił już za

czasów Filipa. Z sieni, przez którą wchodziło się do pokojów, zajmowanych przez wojewodę, drzwi boczne, nigdy niezamykane, prowadziły do ogródka, wychodzącego w ciasną uliczkę, ciągnącą się za murem posesyi, prawie zawsze pustą.

W murze była stara furtka zamknięta na klucz, z wyjściem na uliczkę. Wywożono nią śmiecie i liście z ogrodu. W biały dzień, o dziesiątéj godzinie, Filip znalazł się u owéj furtki, którą od lat wielu doskonale znał; podważył ją trochę do góry, poświdrował w zamku, otworzył, wszedł, i wprost udał się do mieszkania wojewody. Żywéj duszy nie było ani w ogrodzie ani w sieniach, a chłopak siedzący na straży, nie ruszył się zobaczywszy Filipa idącego śmiało do pokoju pana, w przekonaniu, że stary sługa powrócił.

Filip wszedł do pana swego, jak gdyby nic się nie zmieniło. Na widok jego, wojewoda, trochę silniejszy, tak się uradował, że się z krzesła zerwał i kilka kroków postąpił. Głosu mu zabrakło z radości.

— Filip! zdrów! a! Bogu dzięki! Toś wyzdrowiał!

I śmiał się.

— Et! et!—odezwał się stary podchodząc na palcach.—Ja nigdy nie chorowałem, tylko mnie precz wygnano, bom zawadzał.

Wojewoda ręce załamał.

— Jakżeś się teraz tu dostał?—zawołał przestraszony.

— Przez ogród się wkradłem, i zaraz nazad muszę uchodzić, aby mnie tu nie pochwycono! Tak! tak! jegomościuniu—dodał—do tegośmy doszli, z pozwoleniem, przez pańską... powolność. Baby górę wzięły, mnie won, a jegomości do niewoli! Daléj, daléj,—zawołał rozjątrzony Filip—jeszcze to pana czekać może, że dadzą czekoladki, jak paniczowi! Jak mi Bóg miły! E! już za nic nie ręczyć!

Przestraszone oczy obrócił ku niemu wojewoda, dając znaki, aby milczał. Westchnął i łzy mu się potoczyły.

— Słuchaj stary,—rzekł głosem przerywanym—niech się nademną grzesznym dzieje wola Boża! Zginę, to zginę, bom zasłużył. Lepiéjbym ja przepadł, niż żeby na dom padła plama. Czuję ja teraz i wiem co się dzieje, wiem że ja tu zawadą we własnym domu, i co te kobiéty tu wyrabiają i co gadają o mnie.

Słyszałem ci to ja na własne uszy, ale oskarżając żonę obwiniłbym siebie... Dziéj się wola Twoja, Panie, i przyjm co cierpię za grzechy moje...

Uderzył się w piersi, i spuścił głowę.

— E! co bo pan mówi!—przerwał Filip,—rzeczy nie są zdesperowane, jegomość dla jednéj baby szalonéj żebyś miał ginąć! Po co! za co? albo to ona do familii należy? Każdemu się trafi, że się na białéjgłowie omyli, bo umieją one dobrze przypochlebić się, gdy potrzeba. Żeby zaś za omyłkę taką zaraz szyję dać!

— A cóż pocznę? co pocznę?—odezwał się stary z cichym jękiem—mnie oni obtoczyli jak niedźwiedzia w jamie: ani ruszyć! Krzyknę, powiedzą żem waryat; zagniewam się, wołają szalony; wyrywać się chcę, zamkną na klucz: słudzy ich, doktor im nie mnie służy... Cóż pocznę! niech już ginę—dodał z rezygnacyą.—Życia we mnie nie wiele, jakem sobie posłał tak śpię!

Filip się zbliżył i począł szeptać do ucha:

— Niech jegomość nie desperuje. Jest sposób na to: ja sam nic nie zrobię, ale z wojewodzicem we dwu staniem i baby w Kawysz przepędzim! Tak mi Boże dopomóż!

Stary dał znak ręką aby mówił ciszéj jeszcze, lecz chciwie, cały drżący obrócił się ku niemu.

— Jak wy tego możecie dokazać?—spytał, a w oczach widać było jakby promyk nadziei.

— Niech się jegomość o to nie pyta, proszę być dobréj myśli—dodał Filip.—O jedno idzie, ażeby gdy się tu pan wojewodzic zjawi, jegomość go nie wyklinał, nie łajał, nie pędził. Stanie on zemną przy jegomości, a, tak mi Boże dopomóż, we trzech my tu przepędzimy i baby i ich dwór i zauszników...

— Ależ doktor! doktor!—rzekł wojewoda—co mnie, słyszę, waryatem ogłasza.

— Będzie on śpiewał inaczéj—począł Filip szybko, oglądając się i lękając, aby go nie pochwycono.—Czasu nie mam, tyle jegomości tylko powiem, niech będzie dobréj myśli i do jutra rozkazuje tak, aby poczuli, że przecie pan się woli swéj nie wyrzekł: my jutro tu będziemy z paniczem...

To mówiąc, pana w rękę i w ramię pocałował, wyślizgnął się cicho, chłopcu dał dwuzłotówkę szepcząc:—Nie mów nikomu, żem tu był— i zniknął.

W pana wojewodę duch inny wstąpił. Przed godziną siedział jak zabity, z głową spuszczoną, wpół śpiący; teraz oczy mu biegały, prostował się, ruszał i nabrał fantazyi.

Zaledwie usłyszał w przedpokoju chodzenie nowego kamerdynera, gdy zadzwonił.

Z obojętną miną wszedł zawołany.

— Słuchajno—odezwał się wojewoda głosem rozkazującym—czuję się dziś lepiéj, jeżeliby kto z gości się do mnie zameldował... przyjąć. Rozumiesz?

Służący zdumiał się bardzo.

— Ale....—przerwał.

— Ale tu niéma: słyszysz dyspozycyą i spełnij co ci kazano.

Wskazał na drzwi.

Niespodzianém tém wystąpieniem nadzwyczaj zdziwiony kamerdyner, poszedł o niém donieść wojewodzinie, która wziąwszy z sobą matkę, wpadła do pokoju męża.

Spojrzawszy nań dostrzegła w nim zmianę. Starościna się zbliżyła.

— Cóżto, pan wojewoda jakieś wydaje rozkazy, bez względu na to co doktor nam za dyspozycye zostawił? Cóżto to jest?

Wojewoda podniósł głowę i niby się nawet uśmiechnął, czego dawno na jego ustach nie widziano.

— To mości dobrodziejko, znaczy, że się czuję zdrowszym, i że doktora się radzić a u jéjmości pozwolenia się dopraszać nie widzę potrzeby!

Kobiéty spojrzały po sobie.

— No, tak—mówił wojewoda—dosyć téj kurateli, chcę moję wolą mieć... i... kwita.

Żona ruszyła ramionami i odezwała się zimno:

— To są zachcianki i fantazye, choroby właśnie dowodzące. My wiemy co doktor nakazał.

— Dajże mi acani pokój i z doktorem i z tą swą czułą opieką: mówię że mam tego dosyć.

— Co waćpanu jest?—zawołała starościna.

Rozdrażniony wojewoda na to zapytanie, wystawił ogromny czerwony język.

— Patrzajże asindźka żem zdrów?

Starościna odskoczyła: kobiéty stały niewiedząc co mówić i co robić.

— I proszę—dodał stanowczo wojewoda,—abym na obiad dostał nie waserzupkę, jajko i skrzydełko od kury, ale kawał mięsa. Co u licha, głodem mnie morzycie?

— Z rozkazu doktora!

— Chyba razem z nim uplanowaliście mnie głodem umorzyć—zaczął żywo wojewoda—a żebym się nie skarżył przed ludźmi, drzwi zamykacie i nie każecie dopuszczać nikogo. Z samych nudów licho weźmie człowieka. Wy się tam sobie zabawiacie i zajadacie, a ja w karceresie i na suchotach!

Mowa ta była w ustach wojewody smutnego i milczącego, tak nie zwyczajna, iż kobiétom wydała się jakby istotnie mową obłąkanego.

— Śliczne i grzeczne rzeczy z ust waćpana słyszę!—odezwała się starościna. Tegośmy się doczekały.

— A tak! a tak!—odparł wojewoda—czasy komplementów i grzeczności przeszły, trzeba i prawdę posłyszéć. Domagam się wiktu jakiego chcę, bo siebie i swoje zdrowie znam, i swobody, bo do niéj mam prawo... Ot co!

Obejrzał się dokoła, kobiéty nie mogąc pojąć zkąd to na niego przypadło, stały w niepewności jak sobie poradzą.

— Formalny bunt!—uśmiechnęła się wojewodzina.

Stary począł fałszywie poświstywać, a świstanie starościna wzięła za obrazę osobistą. Świstać przy niéj było zniewagą. Zarumieniła się cała. Uderzyła palcem w czoło, pokazując na niego córce.

— Niéma co z nim mówić: chodźmy!

Wojewodzinie zdawało się, że go może umityguje.

— Ale jakiż powód do tego jakiegoś wyzwierzenia się na nas—zapytała.—Cóż się stało nowego!

— Nowego, nic: starego było tyle, przyzbierało się kropla po kropli, że się w końcu z naczynia polało—rzekł drżącym głosem wojewoda. Nie trzeba nigdy miary przebierać. Zapewne asindźce wypadnie mieć po mnie drugiego a może i trzeciego męża, otóż, pamiętaj asińdźka, że z najgłupszym nawet ostrożną być potrzeba.

Odwrócił głowę.

— Franciszek—krzyknął na sługę—do kuchni idź, aby mi punkt o południu, dobry bulion i sztukę mięsa dali: słyszysz!

Franciszek na panią spojrzał, ale ta była tak zmieszana i wystraszona, że nie mówiąc nic, skinęła na matkę i wyszła.

— Co mu się stało!—powtarzały obie.—Co to jest?

Daliborski czekał w apartamencie pani, po wnijściu ich do pokoju domyślił się jakiéjś katastrofy.

— Formalnie sfiksował!—zawołała wojewodzina.—Ani z nim gadać, ani przystąpić; nic słuchać nie chce i impertynencye prawi: rozkazuje, fuka.

— Ale jakaż przyczyna nagła téj zmiany? Wszak był spokojny i zrezygnowany?

— Jeszcze dziś rano!—potwierdziła starościna. Chodziłam do niego, prawie się nie odzywał, przeciwko niczemu nie protestował.

— Coś zaszło—rzekł Daliborski—ktoś musiał być!

Zawołano Franciszka. Ten się zaklinał na wszystko, iż żywéj duszy do wojewody nie puszczał, krokiem od niego nie odchodził, i na kwadrans się na śniadanie oddalając, chłopca w przedpokoju posadził. Przyciągnięto i chłopaka, ale ten wyląkłszy się, rozpłakany, do niczego się nie przyznał. Stróż śpiący w bramie zapewniał téż, że nikt, oprócz domowych, na dziedziniec pałacowy wpuszczony nie był.

Nagły ten bunt przechodził pojęcie. Strwożona pani wyprawiła własną karetę po doktora.

Rozprawiano żywo, niemogąc się zgodzić na nic. Wojewodzina z wypieczonemi rumieńcami biegała po pokojach podrażniona i zburzona, odgrażając się niewiedzieć na kogo. Matka jéj nie mogła uspokoić, bo i jéj odpowiadała niegrzecznościami.

— Niech mi mama da pokój—wołała—wszystko to z jéj łaski! Nieszczęśliwy dzień i godzina, gdym na próg tego przeklętego domu stąpiła! Łzy tylko i żółć piję.

Nadjechał doktor, sztywny jakiś, i nie swój. Otoczono go kołem, zwiastując mu, że wojewoda łajał, dokazywał, rządził się. Chciano go prowadzić natychmiast: prosił, ażeby sam mógł iść do chorego.

Gdy wszedł, zastał go wistocie nie zwyczajnie ożywionym.

— A co!—powitał go od progu—pewnie nastraszono konsyliarza, bo to nie waćpana godzina.

Jako żywo nie gorzéj mi, ale lepiéj, i to zapewne zawdzięczam jego miksturom: Bóg zapłać!

— Pani wojewodzina jest niespokojna—wtrącił niemiec.

— Żem zdrowszy?—rozśmiał się wojewoda.—Uspokójże ją asińdziéj, choroby jeszcze jest dosyć, by miała co pielęgnować, ale niech mnie głodem i rekluzyą nie kurują!

Czy to konsyliarz zakazałeś aby gości nie puszczano?

— Ja?—odparł doktor, ramionami ruszając. Zbyt wrzawliwego towarzystwa i męczenia się nie radzę, ale rozerwania się nie bronię.

— Powiedzże to magnifice!—rzekł wojewoda.—A dyeta?

Doktor coś począł o niéj długo, widać było że chciał interpretacyi szerokie zostawić pole.

Pomówiwszy chwilę, doktor wrócił do wojewodzinéj.

— Jakżeż go pan znalazł?—spytała.

— Ożywionym—odparł niemiec,—nie gorzéj, owszem lepiéj.

— Ale niespełna rozumu! słowo daję — wtrąciła starościna — pomieszanie ma. Jedno się drugiego nie trzyma, dziś prawi co innego, jutro naodwrót. Gorączkę czuć w nim... Jest fiksat.

Wojewodzina pytająco spojrzała na doktora. Daliborski także. Konsyliarz milczał, ściąwszy usta.

— Że nie jest w zupełném posiadaniu zmysłów—odezwała się wojewodzina—to pewna.

Doktor milczał jeszcze.

— Cóż pan mówisz?—spytał mecenas.

— Nie mówię nic—rzekł niemiec.

— No, ale gdyby koniecznie trzeba powiedziéć?—dodał Daliborski.

Czekano w milczeniu.

— Nie umiałbym zdecydować o tém i skłonniejszybym był przyznać, że jest przytomnym.

Starościna z gniewu uderzyła w ręce.

— Ale konsyliarz sam byłeś tego zdania—zawołała.

— Ja nie miałem żadnego zdania—począł niemiec flegmatycznie. Widuję chorego rzadko i na krótko, spuszczałem się w tém na obserwacye osób, żyjących ciągle z wojewodą. Co do mnie, ja tu nie widzę najmniejszego śladu pomieszania.

Wojewodzina, która po mieście głosiła wcale co innego, ulękła się i zagniewała.

— A! to coś nowego!—ozwała się z przekąsem—to coś nowego?

Doktor stał nieporuszony, jak gdyby nie słyszał; wyjął zegarek, spojrzał nań i widocznie dłuższéj unikając rozmowy, skłonił się, zabierając wychodzić.

Daliborski pogonił za nim; dwie jéjmoście zostały same.

— Kto tu winien, ja nie wiem!—odezwała się starościna—że nie ja, to pewna!

— Szłam przecież za radą waszą!—ironicznie, złośliwie odezwała się córka.

— Przepraszam—odparła dumnie starościna—mój plan i rada była wcale inną. Życzyłam go ugłaskać, pieścić, a waćpaniś go tylko drażniła. Ledwie udobruchanemu prawiłaś grubiaństwa: masz, coś posiała.

— Czułości było dosyć, mam ich już po póty!—zawołała, na gardło ukazując wojewodzina.—Sprawia mi obrzydzenie ten stary grzyb: wolę gdy się gniewa.

— No, to masz czegoś chciała!—rzekła matka.

Poczęła się wzdłuż i wszerz przechadzać po pokoju, oczekując powrotu Daliborskiego, który się zjawił z miną posępną.

— Doktor—rzekł—na nic się nie zdał; potrzeba myśléć o innym. Młody jest, nie ma doświadczenia, lęka się. Z nim nic zrobić nie można. Lękam się nawet, ażeby po mieście nie rozgłaszał, że stary zdrów i zupełnie przytomny.

— Niech paple co chce!—krzyknęła wojewodzina w pasyi. Prędzéj mnie uwierzą niż jemu. Wszystko mi jedno.

Na tę rozmowę wpadł Franciszek strwożony, opowiadając, że dwu panów przybyło z wizytą do wojewody i odprawić się nie dawali.

Byli to dwaj znajomi wojewody, których stolnikowa namówiona przez wojewodzica, nasłała z tém, aby się bodaj gwałtem dobijali, mówiąc, że wiedzą, iż wojewoda jest zdrów.

Wojewodzina wybiegła sama do salonu, każąc ich prosić do siebie. Byli to pan kasztelan sieradzki i starosta wielewizki, oba w wieku wojewody, ludzie poważni i odważni.

Obu ich wojewodzina nie znała. Kasztelan jéj siebie i towarzysza prezentował, przyjęła ich cała zaczerwieniona i gniewna.

— Powiedziano mi, iż waćpanowie dobrodzieje życzyliście sobie usilnie widzieć się z mężem moim; bardzo przepraszam, że ich żądaniu zadość uczynić nie mogę. Najlepiéj znam stan zdrowia męża mojego: doktor mu nakazał absolutny spoczynek.

— Powiadają jednak...—począł kasztelan.

— Mogą powiedzieć co chcą!—przerwała gwałtownie piękna Dosia—ja lepiéj panów od innych poinformować mogę. Sługa uniżona!

I wyszła.

Kasztelan wyprostował się i wolnym krokiem wyszedł za drzwi, prowadząc za sobą starostę.

— A co, mosanie, osóbka ładna, ale dla takiego starego jak nasz poczciwy wojewoda, trochę temperament zażywy. Uważałeś asindziéj, jak to to się komosiło!

— Żywe srebro!—odparł starosta.

— A tak, żywe srebro, merkuryusz—dodał kasztelan—asindziéj wiesz, iż to *venenum* straszne. Boję się, aby wojewoda zażywszy go dobrą dozę, nie gęgnął.

Rozśmieli się oba, ruszyli ramionami i poszli.

X.

Nazajutrz o godzinie dziesiątéj rano, wprowadzony przez furtkę od pustéj uliczki przez Filipa, wojewodzic szedł cały drżący do ojca. Pałac ten, w którym tyle lat przeżył, gdzie go najcięższe w życiu wypadki spotkały, zkąd go wygnano sromotnie, robił na nim wrażenie dziwne. Zuchwalstwo, ironia, usposobienie zwykłe do szyderstwa, rozpaczliwe fantazye, ustąpiły z jego serca, czuł się rozrzewnionym i smutnym.

Żal mu było ojca. Filip zaręczał, że wojewoda miał przebaczyć i stanąć przy synu, ale możnaż było ręczyć za to, że urok kobiety, dla któréj starzec miał taką słabość, nie owładnie nim znowu? że płacz i łzy go nie odmienią? że wojewodzic, jako rozpustnik i gwałtownik, znowu wygnanym nie będzie?

Wiedząca o téj wyprawie synowskiéj stolnikowa, niby przypadkiem o téj saméj godzinie, przyjechała w odwiedziny do przyjaciółki.

Czy Dosia rada jéj była? o tém trudno było sądzić, ale przyjęła ją bolem głowy, smutkiem i milczeniem.

Z rezygnacyą zaprosiła siedziéć, przemówiła słów kilka, zdawała się czekać końca téj natrętnéj rannéj wizyty. Stolnikowa w stroju negliżowym, z książką od nabożeństwa w ręku, mówiła, że powracała z kościoła i że ją coś tknęło, aby kochaną Dosię odwiedzić.

Gosposia na białéj dłoni sparłszy bolącą główkę, półgębkiem dziękowała.

Wszystkie grzeczne środki pozbycia się nieproszonego gościa zostały wyczerpane. Stolnikowa siedziała, paplała, zabawiała, radziła różne lekarstwa na migrenę, rządziła się po pokoju, ale odjeżdżać nie myślała.

Przymawiała się do... czekolady.

Wojewodzina usłyszawszy to żądanie, zarumieniła się mocno; widać w niéj było tłumiony gniew: szarpnęła za sznur od dzwonka tak, że go urwała i kazała czekolady przynieść.

Czekoladę wzięła za przymówkę, chodziły wieści o tym napoju, podanym niegdyś wojewodzicowi, o którym on twierdził że suczka się nim otruła. Stolnikowa, któż wié, umyślnie zapewne wybrała czekoladę, aby tę plotkę przypomniéć i nią przyjaciołkę ukąsić.

A gdy ją przyniesiono, piła tak powoli, chrupała biszkopciki tak od niechcenia, że wojewodzina patrzéć na to nie mogła.

W téj saméj chwili otworzyły się drzwi pokoju wojewody i syn wszedł; krokiem chwiejącym się postąpił ku ojcu, który do niego ręce wyciągał, i rzucił mu się do nóg ze łzami.

Wieki już, od dzieciństwa pono wojewodzic łez nie znał. Otwarły się nagle te upusty niebieskie i lżéj mu się zrobiło na sercu: uczuł się mężnym a silnym.

— Wicek! tu, w ramiona moje!—wołał stary—na szyję!

Ściskali się, a Filip téż łzy ocierał u progu.

Mówić nie mogli, na cóżby się tu słowa zdały!

Gdy wchodzących Filipa i panicza zobaczył chłopak posadzony na straży, przestraszony wczorajszém badaniem, pierzchnął wprost do Franciszka z wieścią, że jakichś dwu, ktoś z Filipem, poszli gwałtem do starego pana. Kamerdyner rzucił jedzenie, zerwał się i wpadł jak oszalały do pańskiego pokoju. Otwierał drzwi, ale przy nich stojący Filip, powiedział mu zimno:

— Idź acan, jesteś tu niepotrzebny.

Franciszek mógł tylko dostrzedz kogoś obok wojewody, siedzącego na krześle: poleciał do pani.

Niezważając już na przytomność stolnikowéj, zawołał w progu stanąwszy:

— Proszę jaśnie pani! jacyś ludzie! jacyś goście u wojewody! Nie wiem, jak weszli. Boże mnie skarz, gwałtem!

Wojewodzina, już i tak gniewna, rzuciła stolnikowéj: „przepraszam” i pobiegła jak bezprzytomna. Potrzeba było przechodzić ogromny szereg pokojów: nie uspokoiło ją to wcale, nie ochłonęła; owszem, gniéw jéj wzrastał, miała mocne postanowienie zrobienia... awantury. Dopadła tak drzwi pokoju wojewody, otwarła je z łoskotem, spojrzała i... skamieniała.

Wojewoda siedział rękę trzymając na ramieniu syna opartą, rozjaśnioną miał twarz, uśmiechały mu się usta. Spostrzegłszy wojewodzinę, nie zmieszał się wcale.

Jakiś czas stała nie mogąc się ruszyć kobieta, bladła i krwią się oblewała: wzgardliwie patrzał na nią wojewodzic.

Wtém, śmiało przestąpiła próg.

— Panie wojewodo—zawołała wskazując na syna—albo ja, albo on.

Głos jéj drżał...

— Ja albo on, musimy ztąd iść precz; pod jednym dachem z tym... z tym... (wyrazu nie znalazła w myśli) pod jednym dachem my żyć nie możemy.

— Nie zmuszam—odezwał się wojewoda.

— Ja ojca nie opuszczę—rzekł wojewodzic. Cierpiał dosyć on i ja.

Wzrokiem piorunującym rzuciła na nich obu wojewodzina i chwiejąc się, chwytając drzwi, wyszła.

Panowało milczenie. Słychać było chód jéj niepewny, to przyśpieszony, to wolny i... ucichło wszystko. Filip poszedł flegmatycznie ku drzwiom, które zostały otwarte i zamknął je.

Wróciwszy do swojego pokoju, wojewodzina padła na kanapę, gniew ją dusił, krzyknęła i dostała rodzaj epileptycznego ataku...

Rzucono się ratować, w czém i stolnikowa była pomocą, ale że ta ranna godzina sprowadzała zawsze doktora, przybył w porę i zamiast do wojewody, pobiegł do pani.

Starościna rozpadała się tu nad córką krzycząc i lamentując, lecz jak tylko mogła ją powierzyć lekarzowi, porzuciwszy chorą, pobiegła do wojewody.

Chód kobiecy i szelest sukni usłyszawszy stary, chciał kazać drzwi na klucz zamknąć; ale się wzięto do tego zapóźno: starościna w sukni potarganéj, z włosami rozpuszczonemi, z pościeraną twarzą, z któréj bielidło poschodziło miejscami, odkrywając żółte odrażające plamy, wleciała straszna jak harpia, wprost biegnąc z pięściami na wojewodę.

Zatrzymała się jednak o kilka kroków.

— Waćpan mi córkę zabijasz!—krzyknęła. Zbójca jesteś! Waćpan wiesz jaka była umowa, i ten (wskazała na wojewodzica), ten miał iść precz, na zawsze, ten!... Waćpan nam wypowiadasz wojnę!

— Hm!—odezwał się stary—wyście mi ją gorszą wypowiedziały ledwie z kobierca zszedłszy. Ja właśnie że pokoju chcę, kazałem mu tu przyjść i stanąć. Niewoli mam dosyć. Skosztowałem słodyczy opieki waszéj i kwituję z niéj.

— Waćpan wiész czém mu to grozi?—krzyknęła starościna—my jednéj godziny tu nie pozostaniemy dłużéj, my jedziemy natychmiast. Proces! zobaczymy co on na wierzch dobędzie.

— Zaprawdę, rzeczy ciekawe—przerwał wojewodzic spokojnie —lecz będziemy się starali bronić potrosze...

Starościna zakryła sobie oczy tragicznym gestem.

— Taka to wdzięczność!—krzyknęła—taka nagroda za poświęcenie.

— Pani dobrodziejko — odezwał się wojewodzic — prosiłbym o oszczędzanie mojego ojca. Mamy obietnicę procesu, pomieści się w nim wszystko.

Wskazał z grzecznym ukłonem na drzwi, które Filip otwierał. Starościna rzuciła się gwałtownie, plunęła i wypadła z pokoju z wrzaskiem.

Wojewoda siedział blady, zdawało się z poruszenia ust, że się modlił; twarz miał zmienioną. Podano mu wody, siadł syn przy nim, przystąpił Filip i poczęli go uspokajać.

W drugim końcu pałacu, doktor prawie oszalałą wojewodzinę trzeźwił i z serdecznego śmiechu, w który wpadła, starał się związywaniem ręki wyprowadzić. Posłano do apteki po krople, cały dom, jakby się ziemia pod nim wstrzęsła, zawrzał, poruszył się, ludzie potracili głowy. Starościna biegała wołając o konie.

Daliborski rad był jakoś zmitygować, parlamentować, ale mówić mu niedawano.

— Ani godziny więcéj!—wołała starościna—zaprzęgać! pakować! Jedziemy!

— Pani starościno dobrodziejko—odparł sturbowany mecenas—mam sobie za obowiązek panią ostrzedz, że gdy się raz wyjedzie ztąd, powrócić będzie trudno...

Wojewodzina także wołała:—jechać! ja tu pozostać nie chcę i nie mogę!

Wśród tego zamieszania, stolnikowa, która nic poradzić nie mogła, zakręciła się i znikła. Miała powóz gotowy, pośpieszyła z ranne-

mi wizytami i opowiadaniem sceny, któréj *przypadkiem*, świadkiem była. Wymawiając wyraz ten, uśmiechała się dwuznacznie.

W kilka godzin potém cała Warszawa wiedziała, że pani wojewodzina opuścić miała, albo téż opuściła już dom mężowski i że prawdopodobnie proces rozwodowy jest nieunikniony.

Chociaż piękna stolnikowa opowiadając to, okazywała jawnie sympatyą dla starego wojewody i jego syna, stało się jednak że miasto niemal całe wzięło stronę... pięknéj Dosi.

Tak było. Znany hulaka, syn marnotrawny, nie miał u nikogo łaski, sprawa jego była u wszystkich zawczasu przegraną. Obwiniano starego wojewodę o niedarowaną słabość, z jaką naprzód dał się powodować żonie, potém rzucił w ręce syna.

Pobudek do śmiałego kroku, nie w miłości synowskiéj szukano, ale w interesach majątkowych.

Słowem piękna Dosia wychodziła z téj sprawy ofiarą nieszczęśliwą, nad którą się wszyscy litowali.

Ale, tak bo była piękną!...

Przed wieczorem, jak zapowiedziano, obie kobiety opuściły pałac. Opóźnił się tylko wyjazd z powodu, że starościna wszystko, aż do makat ze ścian pozabierała. Ładowano wozy, nikt się nie sprzeciwiał; zabrano sprzęty, schwycono kasę, zapakowano srebra i kosztowności.

Filip ośmielił się przebąknąć coś o tém panu, wojewoda odpowiedział:

— Daj brać co chcą!

Zabrała téż starościna tak troskliwie srebra, że dla jegomości do wieczerzy łyżki pożyczyć musiano.

Wojewodzic uśmiechał się.

Późnym już wieczorem, oznajmiono przybycie mecenasa Daliborskiego, który chciał się rozmówić z panem wojewodą albo z synem.

Stary był tak zmęczony, iż Wicka prosił o wyręczenie.

W wielkiéj sali czekał nań mecenas, chodząc kroki żywémi z głową spuszczoną.

— Czém służyć mogę?—rzekł ironicznie wojewodzic.

— Przychodzę bez żadnéj misyi!—odparł Daliborski.—Szczycę się łaską pani wojewodziny i jéj zaufaniem, czułem się w obowiązku, jako przyjaciel...

— Przyjaciel?—podchwycił sceptycznie wojewodzic, powtarzając parę razy ten wyraz.—Ale o cóż idzie?

— O uniknienie skandalu!—rzekł Daliborski.—Chwilowe nieporozumienie między małżeństwem wszędzie się trafia. Możeby się dały sprawy ułożyć bez procesu i konsystorza.

Wojewodzic pilno słuchał, usta gryząc.

— Cóż daléj?

— Nie będzie się wojewodzina sprzeciwiać wydziałowi fortuny dla acana dobrodzieja..., a w pewnych warunkach, podyktowanych stanem rzeczy, małżeństwo mogłoby znowu się połączyć. Wacpan dobrodziej mógłbyś miéć u ojca swe godziny.

Wojewodzic słuchał, wyśmiewając się zlekka i prychając.

— Jestto bardzo piękny projekt!—rzekł—bardzo piękny, godzien acana dobrodzieja, ale nie do wyegzekwowania. Mój ojciec na własne uszy słyszał zdanie, jakie o nim wydała pani wojewodzina, w sypialnym pokoju swym siedząc z kasztelanicem. Nawiasowo dodam, że było to w uroczystéj godzinie, gdy kury piać zwykły, z północy... Dekret ten na siebie ferowany posłyszawszy, czuje się skazanym na rozłączenie się z piękną panią, która mężów sobie kopami znaleść będzie mogła. *Dixi!*

Skłonił się. Daliborski poprawił chustkę białą na szyi, chrząknął, popatrzał, mruknął coś i wyszedł.

Następnych dni stolnikowa, która wiele pomagała wojewodzicowi, co chwila go u siebie oczekiwała, niecierpliwiąc się, że nie przychodził.

W pałacu było wiele do czynienia. Wojewoda ciągle chciał miéć syna przy sobie, a wojewodzic téż nie śpieszył zbytnio do pięknéj Malinki, która go nazywała niewdzięcznikiem.

Druga próba zgody nastąpiła w kilka dni ze strony króla.

Przysłał on szambelana Kickiego do wojewody, aby mu uczynił właściwe refleksye i wyraził życzenie N. Pana. Rozmowie téj wojewodzic przytomnym nie był, stary wojewoda musiał w niéj otwarcie położenie swe odmalować i historyą całą opowiedziéć, gdyż po powrocie i sprawozdaniu Kickiego, gdy starościna w zastępstwie choréj córki pobiegła do zamku, król przyjął ją lodowato.

Sprawy wojewodzinéj, którą dawniéj brał do serca mocno, już się teraz nie podejmował.

— Raczcie mnie od pośrednictwa uwolnić!—rzekł do starościnéj—nie byłem dobrze informowany. Widzi mi się teraz, że córka acani dobrodziejki ma téż sobie trochę do wyrzucenia.

Tu odetchnął znacząco.

— Pewną jest rzeczą, że pięknym paniom wiele, wiele przebaczać należy; jednakże ma to swe granice, ma granice... Kochana starościno, byłyście nieostrożne! nieostrożne!.. Ja już w to wchodzić nie mogę, chociaż serdecznie życzę, aby się to pacyfikowało! pacyfikowało! Darujesz acani dobrodziejka, czekają na mnie!

I król się wymknął.

Proces rozwodowy rozpoczęto.

W kilka dni, pani stolnikowa niedoczekawszy się niewdzięcznika, posłała bilecik pełen wykrzykników i znaków zapytania.

Wojewodzic wieczorem pojechał do niéj.

— Witam tryumfatora!—zawołała we drzwiach go spotykając Malinka.—Widzisz! jeżeli nie wszystko, to połowę twoich sukcesów mnie winieneś! podziękujże przynajmnéj.

Wyciągnęła rączkę, którą wojewodzic ucałował, ale smutny był.

— Ale cóż ci jest? nie mógłbyś miéć kwaśniejszéj miny, gdyby ci się nie udało. Co ci jest?

— Nic mi nie jest, kochana stolnikowo; nie znasz mnie: ja kiedy jestem bardzo nieszczęśliwy, jestem wesół jak dyabeł, a gdym szczęśliwy bardzo, na płacz mi się zbiera.

— Pleciesz bez sensu!—zawołała stolnikowa.—Siadaj! Zjesz u mnie kolacyą! niechże cię mam choć godzinę.

— A ojciec?—spytał wojewodzic—on tam będzie niespokojny.

— Juźciż, mnie się coś poświęcić godzi! ja zawsze, zawsze uparcie sobie powiadam, że ty taki się ożenisz ze mną!

— Nie!—rzekł wojewodzic sucho.

— Dlaczego?

— Dlatego, że się wcale i nigdy nie myślę żenić!—począł Wicek.—Napatrzyłem się tyle małżeństw, że mi od tego gust odpadł zupełnie.

— Brzydzisz się kobiétami?

— Gdzie zaś! adoruję je!—rzekł wojewodzic—ale małżeństwo zdaje mi się nad siły ludzkie. Anioły mogłyby się żenić, ludzie nie są dosyć anielscy, ażeby byli godni takiego związku.

Znów stolnikowa powtórzyła:—pleciesz!

— Stolnikowo najdroższa!—odezwał się wojewodzic—cóżem ja winien, iż tego sakramentu nie czuję się godnym? Przystępować do ołtarza z tą pewnością, że się krzywoprzysięże, brzydka rzecz.

Ruszyła ramionami Malinka.

— Ja za siebie nie ręczę!—dodał wojewodzic.—Kochałem się szalenie w Pepi, przy niéj omałom się nie zmienił na uczciwego i porządnego człowieka i... i zdradziłem ją dla twojéj różowéj buzi. Buzia jest śliczna, ani słowa, ale...

— Jam tamtéj aktorki nie warta!—z gniewem zawołała stolnikowa.

— Nie gniewaj się! Każda z was jest w swoim rodzaju perfekcyą, ale Pepi była pączkiem, ty różą rozwiniętą i...

— Impertynent!—krzyknęła gospodyni i skrzywiła się do płaczu. Nie chcę cię znać! ale pamiętaj! pamiętaj! będziesz mnie kiedyś żałować.

— Z pewnością!—odparł wojewodzic—bo, słowo daję, adoruję cię! Ale żenić się, to zupełnie co innego. Nie mogę! Daję ci słowo, że się nie ożenię! O cóż ci idzie?

Stolnikowa spojrzała niedowierzająco i potrząsła głową.

— Czekaj!—zawołał ze smutną ironią Wicek—cofam słowo! Powiadają, że się cnoty i wady po ojcach dziedziczy, ojcowskie cnoty chciałbym mieć, ale, kiedy on téj Dosi dał się opętać, czyż ja za siebie ręczyć mogę?

— Co za nieszczęście, że ja niémam tego daru opętania!—westchnęła stolnikowa.

Wojewodzic wstał i podszedł ku niéj.

— Kochana stolnikowo! nie gniewaj się! Słowo ci daję, chwila do projektów małżeńskich była źle wybrana. Sama spostrzegłaś, że jestem w usposobieniu niezwykłém. Życie mi się jakoś znudziło, dopiąłem celu, ojciec wolny, niémam co robić!

— Właśnie dlatego powinieneś się ożenić!—przerwała uparta stolnikowa.

Wojewodzic śmiać się począł.

— Prawda, jutro musiałbym być o jejmość zazdrosnym, a pojutrze się z amantem jéj strzelać!

Mimowoli Malinka się uśmiechnęła, ramionami poruszyła, pogroziła na nosie i może przez pewne wyrachowanie, dla obudzenia zazdrości, dodała:

— Pewnie już słyszałeś, że kasztelanic, który się tak kochał w Dosi, przeszedł do mnie!

Spojrzała tryumfująco.

— Więc kochana stolnikowo—skonkludował wojewodzic—daleko będzie lepiéj; każ się jemu ożenić z sobą i niech on o mnie będzie zazdrosny: dasz mi piękniejszą rolę.

Chciał ją w rękę pocałowawszy odchodzić, ale go powstrzymała i nie puściła.

— Czegóż tak pilno?—zapytała.

— Zapomniałem właśnie powiedzieć o tém, że mam polecenia od ojca, z którémi jutro jechać muszę. Gospodarowano u nas tak, że jeśli rychło nie zapobieżym, grozi majątkom ruina.

Wyjeżdżam na Podole.

— Jakto? jutro? jutro? nie opowiedziawszy się? tak niespodzianie! —wołała stolnikowa.—Ale to nie może być! Ja nie pozwolę!

— Muszę!—rzekł Wicek.—Wypadło to i dla mnie niespodzianie. Dziś jeszcze muszę się rozmówić z ojcem.

Stolnikowa była prawie gniewna.

— To wygląda mi, jak gdybyś uciekał odemnie!—odezwała się.

— Niestety! prędzéj że ja sam od siebie uciekam!—smutnie dodał Wicek.—Ale to właśnie najtrudniejsze zadanie!

Rozeszli się tak, wojewodzic chłodny, Malinka zagniewana i podrażniona. Różne myśli chodziły jéj po głowie, wszystkie nie do wykonania. Łzy jéj stały w oczach; wojewodzica miała za straconego, a czuła, że go jednego kochała. Innemi bawiła się; dla tego jednego byłaby poświęciła wiele, nawet cząstkę płochości swojéj.

Wieczorem wojewodzic, który już dwór ojcu, towarzystwo, opiekę i cały tryb życia urządził tak, aby się napaści od starościny i wojewodziny obawiać nie potrzebował, przyszedł i całując w rękę wojewodę oznajmił mu, że na parę dni wyjechać musi.

Podróż na Podole, o któréj mówił stolnikowéj, była zmyśleniem, gdyż stary zapytał zdziwiony:

— Dokądże to i po co asindziéj chcesz jechać?

— Mam bardzo pilną potrzebę na dni kilka: muszę!—odezwał się wojewodzic.—Chciałbym moje dawne, różne zobowiązania, interesa poułatwiać, aby się czuć swobodnym.

Byli sam na sam, mogli więc mówić otwarcie.

— Potrzebujesz pieniędzy?—zapytał wojewoda.

— Nie!—rzekł syn—nie są to zobowiązania pieniężne, ale... honorowe.

— Cóż u licha? pojedynek?—zawołał wojewoda zmieszany. —Na miłość Bożą!

— I nie pojedynek—odparł Wicek smutnie.—Niech się kochany ojciec nie frasuje. Wszystko się to rychło wyjaśni, dziś... nie mogę więcéj powiedzićć.

— Nawet ojcu?

— Nawet ojcu!—dodał całując go w rękę wojewodzic.

Wojewoda nieco się okazał niespokojnym, nie pytał jednak więcéj. Uderzającém dlań było, że syn miał postać smutną jakoś i zadumaną. Wieczerzę razem zjedli, przy którój o rzeczach obcych mówiono. Przyszedł do niéj pan skarbnik Rzeczycki, którego wojewodzic sprowadził umyślnie dla towarzystwa ojcowskiego, człowiek podeszły już, stateczny i niegdyś domownik wojewody. Syn troskliwie mu po wieczerzy zdał wszystko, co się ojca tyczyło.

Gdy pora przyszła, w którój wojewoda odchodził na spoczynek, Wicek go przeprowadził do sypialnego pokoju. Tu żegnali się raz jeszcze.

Ucałowawszy ręce ojca, Wicek mu padł do nóg, poruszony jakoś dziwnie, co starego wielce zaniepokoiło.

— Ponieważ się rozstajemy, choć na krótko—rzekł—jeszcze raz chcę kochanego ojca przeprosić za dawne winy moje. Znam to i czuję, że się wiele nagrzeszyło!

— Daj pokój! wszystko zapomniane! Poco o tém już mówić! zapomnijmy—rzekł rozczulony stary.—Jedź, kiedy konieczna jest potrzeba i powracaj co prędzéj. Tęskno mi będzie za tobą. Siedźmy razem, jam niedługowieczny, szkoda i chwili postradać!

Wojewodzic pożegnawszy się wyszedł szybko; widać i po nim było wzruszenie wielkie. Nazajutrz rano, gdy Filip wszedł do starego, pierwsze jego pytanie było:

— A panicz?

— E! gdzie już! do dnia wyjechał. Coś go pędziło. Całą noc się pakował i oka nie zmrużył. Właśnie wstawałem, kiedy już ruszał od bramy.

Stary w stronę wrót zrobił za synem krzyż święty i zamilkł posępnie.

XI.

Dawni znajomi ledwie teraz mogli doktora Melliniego poznać w człowieku zżółkłym, wychudłym, gniewnym, nieprzystępnym, a często jakby nieprzytomnym. Losy nieszczęśliwéj Pepity tak nań podziałały, iż przed czasem postarzał a raczéj zgrzybiał. Nie chciał nawet już praktyki, odsyłał chorych, opryskliwie mówiąc pacyentom, że sam doktora potrzebował.

Wszystko mu się nie wiodło, ani ów doktor Biernacki, ani żaden z młodzieży nie potrafił pozyskać serca Pepi i zatrzéć w pamięci jéj wojewodzica.

Czekała ciągle na niego, przygotowywując się do wesela. Jakaś tajemnicza ręka nadesłała jéj list bezimienny, opisujący życie narzeczonego w stolicy, romans jego ze stolnikową, przebywanie u niéj i kończyła życzeniem, aby Pepi zapomniała o bałamucie, który jéj nie był wart.

Po odebraniu tego listu, Pepi zamknęła się u siebie, napisała kartkę do wuja, wyszła nazajutrz, niby tylko do przeciwległego kościołka Ś. Michała i nie powróciła. Około południa dopiéro, Mellini niespokojny, wbiegłszy do jej pokoiku, znalazł list do siebie i natychmiast w pogoń się puścił do Warszawy.

Pepi miała około sześciu godzin do wyprzedzenia go, tak że Mellini, mimo największego pośpiechu, przybył do stolicy, nie wiedząc gdzie jéj szukać, już naówczas, gdy dziewczę, wróciwszy z Królikarni, błądziło samo, nie wiedząc co z sobą zrobi, po Krakowskiém Przedmieściu.

Myślą jéj było szukać klasztoru jakiegoś i zamknąć się w nim.

Doktor, szukający mieszkania wojewodzica, spotkał ją nawpół obłąkaną w ulicy. Zobaczywszy go, rzuciła mu się na szyję i nic nie mówiąc, płakała długo. Ledwie nieledwie Mellini potrafił ją uprosić,

aby się dała na spoczynek gdzieś zaprowadzić, a cały wieczór spędził na dowodzeniu, iż miała obowiązki względem niego i powinna była z nim powrócić do domu.

Więcéj podobno niż argumenta pomogło jakieś zdrętwienie i apatya, w którą popadła Pepi. Dała się więc wziąć, dała zawieźć, ale gdy się zbliżyli do Lublina, zapragnęła powrócić nie do nowego domu przy ulicy Grodzkiéj, w którym jéj przygotowania ślubne przykre robiły wrażenie, ale do dworku na Winiarach. Zgodził się na to Mellini. Znowu więc całe dawne gospodarstwo potrzeba było instalować po staremu. Pepi zamknęła się w swoim pokoiku, i przepędzała całe dnie samotnie, chodząc po nim lub w jakiémś marzeniu półsenném. Trudno jéj było powrócić do życia. Strańska odwiedziła ją z początku z kondolencyą przychodząc, Pepi zamknęła jéj usta, nie dała mówić, nie chciała słuchać skarg, w ostatku na zaproszenie do niéj, potrząsnęła głową odmawiając wręcz: łatwo się było domyśleć dlaczego.

Tak przechodziły tu dnie smutne, a Mellini zgryziony tém się tylko pocieszał, iż na naturę ludzką zmienną i działaniu czasu oprzeć się niemogącą, rachował.

Pepi nie chciała już ani brać lekcyi śpiewu, ani dotknąć klawicymbała, nie mogła się wziąć do żadnéj roboty, z myślami swemi chodziła dnie całe. Strańska, sama wielce pobożna, ciągnęła do kościoła, lecz dawszy się wziąć Pepi, siedziała w nim nieporuszona, nie mogąc się modlić—i płakała. Nic nie pomagało.

Jednego wieczora, gdy tak chodziła po swéj izdebce, a Melliniego w domu nie było, cień jakiś przemknął się jéj przed oknami, którego ruch i kształt ją przeraził. Pobiegła do drzwi aby je zamknąć, lecz zapóźno: otworzono je gwałtownie i wojewodzic stanął przed nią.

Na widok jego Pepi przybrała postawę tak dumną i groźną, iż, choć nie odezwała się ani słowa, dosyć jéj było, by za próg wyrzucić zuchwalca.

Ręką drżącą pokazała mu na drzwi.

Wojewodzic blady, z twarzą już nie szydersko się uśmiechającą, ale ponurą i zasępioną, jakąś zarazem spokojną i beznamiętną, stanął w progu.

— Nie przychodzę ani się usprawiedliwiać, ani prosić o przebaczenie—rzekł. Chociaż jestem napozór winnym, w sumieniu czuję się czystym. Chcę pannę Pepi pożegnać: tak! pożegnać raz jeszcze

i na zawsze. Wybieram się w bardzo daleką drogę, z któréj się zwykle nie powraca.

Dwa słowa, Pepi—i wszystko się skończy....

Pepi cofnęła się parę kroków ku oknu, nie raczywszy nic odpowiedzieć. Spojrzała nań z pogardą i dumą. Chciała być obojętną, ale pierś jéj poruszała się silnie i drżała cała.

Wojewodzic wszedł do pokoiku... wchodząc zatoczył się jak pijany, i padł na krzesło, włosy poprawiając machinalnie. Pot zimny kroplami mu się lał z czoła.

— Dwa słowa, Pepi—rzekł poważnie. Mogłaś mnie osądzić przeniewiercą spotkawszy z tą kobieciną, któréj ja anim nie kochał nigdy, ani o niéj myślał. Była mi potrzebną, pomagała do uwolnienia ojca. Ale tłómaczenie wyda ci się fałszywém jak ja; to téż nie przywiązuję do niego wagi: mówię, abyś wiedziała o tém.

Uznałaś mnie za to winnym śmierci, a potém pogardziłaś i sztylet, który miał służyć do ukarania mnie, rzuciłaś mi pod nogi...

Prawdziwy włoski i bardzo ładny sztylet—dodał szydersko—szkoda go było zostawić tak na ziemi. Podniosłem go i odnoszę... a, żebyś była przekonaną jak mi zawsze miło spełnić każdą wolę twoję... patrz!

To mówiąc dobył sztylet i podniósłszy rękę, ze śmiechem gorzkim i dzikim, wbił go sobie w pierś:—krew trysnęła. Pepi, która stała u okna nie spoglądając na niego, odwróciła głowę gdy rękę podnosił; rzuciła się ku niemu i, niemogąc już zapobiedz silnie wymierzonemu razowi, osłabiła go przynajmniéj. Wyrwała mu natychmiast z piersi żelazo, rzuciła je, i na ramionach jego z krzykiem zawisła.

Głos ten wszystkich z całego domu ściągnął, zbiegły się kobiéty, posłano naprzeciw doktora: Pepi klęcząc, cisnęła rękami pierś zranioną, aby krew utamować...

Wicek choć ciężko ranny, szczęściem nie wbił sobie sztyletu, jak wymierzył, między żebra; silnie schwycona ręka ośliznęła się po kości z żelazem, a krew wylana miała zmazać winę...

Gdy Mellini nadbiegł zdyszany, bo mu sługa drogę zabiegła, dając znać o przypadku, pierwszą rzeczą dlań było rozerwać suknie i ranę opatrzeć. Szczęściem, cudem, niebezpieczną nie była. Pepi raz jeszcze ocaliła mu życie.

Na tém samém łóżku, na którém go złożono niegdyś napół żywego, porąbanego przez palestrantów, spoczął teraz znowu, a zamiast felczera siadła Pepi doglądać chorego.

W kilka dni potém uspokojony Mellini, przyszedł rano do chorego, z miną wypogodzoną.

— Zmiłujcie się już, pobierzcie się i niech raz temu koniec będzie. *Cosa fatta capo ha.*

Jak sobie z życiem potém radzić będziecie, nie moja rzecz. Pepi może dokaże tego, że się asindziéj ustatkujesz, albo się wreszcie wyleczy z wielkiéj miłości, co zawsze na dobre wyjdzie.

— Ja wprawdzie—rzekł wojewodzic—nie wybrałem się tu żenić ale miałem umrzeć i uwolnić cię raz na zawsze od wszelkiéj troski... Stało się lepiéj, więc wesele chyba *privatissime* odbędziemy, bez wszelkiego występu i ceremonii.

— Ale, choćby oto w tym pokoju—zawołał Mellini—byle znowu jakie bałamuctwo nie stanęło na przeszkodzie.

— Potrzebuję błogosławieństwa ojcowskiego—rzekł wojewodzic.

— Hm!—rzekł doktor—nie jestem przeciwko żadnemu błogosławieństwu, chociaż jako lekarz nie mam wielkiéj ufności w jego siłę, ale zawsze jestto specyfik łagodzący i uspakajający. Z tém wszystkiem mnieby się zdawało, że czy je asindziéj weźmiesz na czczo, (to jest przed ślubem) czy po nim—wyjdzie na jedno...

Mellini tak się nowych komplikacyi lękał, że z pomocą pani Strańskiéj skłoniwszy księdza definitora od Dominikanów, aby ślub dał, z zaledwie przygojoną raną wojewodzica do ołtarza poprowadził. Świadkami było dwu doktorów, bo i Biernacki, na wyjezdném już do Krakowa, musiał spełniać ten dla siebie nie miły obowiązek, i dwu palestrantów. Wieczorem w bocznéj kaplicy, połączył państwa młodych ks. definitor, a w dworku przygotowana wieczerza na kilka osób, wcale ślubnych godów pozoru nie miała.

Jednakże wina starego, ks. definitor, świadkowie, trochę pan młody, wypili parę gąsiorków. A co było najgodniejszém uwagi, to że pani Strańska, osoba poważna, szczególniéj gdy duchowni byli przytomni, namówiona do pokosztowania starego węgrzyna, mocno sobie podochociła.

Była w takim jakimś humorze, iż wesoło rozmawiając na uboczu z doktorem, wpół żartem mu oświadczyła, że mimo wstrętu do małżeństwa, gdyby on się starał o nią, dalipanby wyszła za niego.

Osłupiał doktor, podziękował jednak, ale od tėj pory trzymał się od niėj zdaleka, i mówił cicho: „osoba niebezpieczna.”

Wojewodzic list naprzód wyprawił do ojca, na który jaka nadeszła odpowiedź, nikt nie wiedział. Jak skoro doktor osądził że jechać mogą, państwo młodzi natychmiast się puścili do Warszawy.

Przyjęcie wojewody zrazu nieco sztywnego i jakby zafrasowanego, było serdeczne. Nadzwyczajna piękność synowéj, jéj powaga i wdzięk wprędce go za serce ujęły. Zapomniał, że była doktora siostrzenicą i że na zapytanie: kto ją rodzi? nie mógł dać zaspokajającéj odpowiedzi.

— Kobiéta śliczności, i co się zowie pięknie wychowana, a charakter, klękać i bić czołem! mosanie—mówił stary...

Żeby człowiek nie wiedział, iż przodków niéma, królewnąby ją można sądzić.

Toż samo wrażenie uczyniła wojewodzicowa, gdy się poraz pierwszy pokazała w teatrze. Król był w loży i został nią zachwycony.

— Wojewodzic ma dobry gust, kobiéta jak z włoskiego obrazu zdjęta, Rafaelowska Madonna!

Unosili się wszyscy. Chciano piękną, młodą panią pociągnąć w towarzystwo i zawieźć do zamku; lecz wojewodzic, po naradzie z ojcem, oświadczył iż na wieś wyjeżdżają.

Choć się więc podróż zwlekła, wizyt nie oddawano.

Dnia tego, gdy wojewodzicowa raz pierwszy ukazała się w loży, była na spektaklu i piękna Dosia z matką, otoczona licznym dworem wielbicieli: można sobie wystawić jak ztamtąd na wojewodzicową patrzano.

Stolnikowa na kilka dni przedtém, opuściła Warszawę, udając się do Eger, dokąd i kasztelanic podobno wyruszył...

* * *

Na tém skończym opowiadanie nasze, nie sięgając głębiéj w życie wojewodzica, który się wprawdzie znacznie zmitygował i spoważniał, ale przestać być sobą nie mógł. Co piękna Pepi miała w życiu do zniesienia z nim, do nas już nie należy. Była téż energicznym charakterem zbrojną do walki i umiała jéj podołać. Jak w pierwszych dniach żaden blask w stolicy nie olśnił jéj, żadna wrzawa nie zmieszała; tak późniéj przygody życia znalazły przygotowaną zawsze do odparcia ciosów i gotową na wszystko, co spaść mogło na nią.

Pani eks-wojewodzina, po ukończeniu rozwodowéj sprawy, niebawem wyszła zamąż za niemłodego bardzo kasztelana, wprzódy jeszcze asystując do ołtarza matce, która się téż za bogatego cudzoziemskiego kupca uszlachconego wydać umiała.

Małżeństwo to było nieszczęśliwe, gdyż okazało się, że kupiec którego głoszono bogaczem, w istocie blizkim był bankructwa i rachował na starościnę, starościna zaś liczyła na niego. Małżeństwo w przeciągu kilku tygodni rozprzęgło się, gdyż małżonek zniknął, a starościna zgryzłszy się, zachorowała i umarła. Lepiéj powiodło się wojewodzinie, bo przeżyła drugiego męża i odziedziczyła po nim znaczną fortunę. Synek, jedynak, nadzwyczaj troskliwie wychowany, do którego zawsze kilku guwernerów było w domu, tak ją zajmował, że zamąż już wychodzić nie myślała.

Starosta Daliborski, ktory się zawiódł fatalnie na swych rachubach, zerwawszy z piękną Dosią, zwrócił gdzieindziéj opiekę, serce i nadzieje. Niemłoda już wdowa księżna *** powierzyła mu swe interesa, które tak gorliwie prowadził, iż połowa dóbr księżnéj przeszła na jego imię. Zmuszony był je nabywać ratując swą klientkę; czyniło mu to największą przykrość, lecz poświęcić się musiał, raz wziąwszy to brzemię na siebie. Zmarł, pańską pozostawiając fortunę, z późnego ożenienia zostawując syna i córkę, którzy już do złotéj księgi wielkich rodzin należeli.

Fortuna kołem się toczy, mówili ojcowie nasi!

KONIEC.